EPOKA

ROK V. Warszawa, 5 stycznia 1938 r. Rok V Nr 1 (104)

Treść numeru:

POBOŻNE ZŁUDZENIE

Na schyłku roku ubiegłego, w noc wigilijną, zabrzmiały ze stolicy papiestwa słowa, które jak każda uroczysta wypowiedź głowy kościoła katolickiego, szerokie zatoczyły koło w całym świecie chrześcijańskim.

Watykan i jego rola w społeczeństwach jest dzisiaj czynnikiem, którego nie lekceważą ani jego wrogowie, ani przyjaciele. O jego poparcie z jednakową zabiegają usilnością oba obozy ideologiczne, na które dzieli się świat teraźniejszy: zarówno obóz faszyzmu, jak obóz demokracji. Ba! Kokietować stolicę katolicyzmu próbują nawet śmiertelni wrogowie i zaprzeczyciele religii — komuniści, wyciągając — w osobie Thoreza — dłoń pojednawczą do wyznawców Rzymu.

Słuchane pilnie i uważnie przez wszystkie odmiany myśli społeczno - politycznej ostatnie wigilijne przemówienie Piusa XI szczególnie żywy znalazło oddźwięk w obozie demokracji. Wpłynęły na to wyraźne i stanowcze akcenty polemiczne skierowane przeciw panującej w Niemczech dyktaturze, którą papież oskarżył wręcz o prześladowanie kościoła katolickiego i jego hierarchii. Stwierdzając fakt prześladowania „któremu nie brak brutalności, gwałtu, podstępu, złośliwości, fałszów i kłamstw", Pius XI nie ograniczył się do ataku, lecz jednocześnie uderzył z całą zapalczywością na rezerwy przeciwnika i, z góry przewidując jego kontr - atak, postanowił zdemaskować zasadniczą metodę, jakiej używa hitleryzm w walce z kościołem rzymskim.

— Mówi się pod rządami Hitlera — brzmią w streszczeniu słowa papieskie*) — że religia katolicka nie jest już religią katolicką, lecz polityczną; że nie naucza wiary, lecz robi politykę. Takim pomawianiem religii o politykę usiłuje się usprawiedliwić prześladowania i przedstawić je jako narzędzie obrony. Odpierając te wybiegi, papież przypomina, że podobnego losu doświadczył Jezus Chrystus, gdy stawiano Go przed Piłatem pod zarzutem uprawiania polityki i zamiaru ogłoszenia się królem. Piłat, który zrozumiał fałsz oskarżenia, lecz udawał, że tego nie pojął, zapytał wtedy Jezusa, czy by istotnie był królem? Jezus odpowiedział, że królestwo Jego nie jest z tego świata, gdyby bowiem było inaczej, „wżdyżby się bili słudzy moi". To samo może powiedzieć o sobie papież. Gdyby uprawiał politykę, w dzisiejszych czasach, gdy tyle mówi się o uzbrojeniach i wojnie,

*) Streszczenie to zaczerpnęliśmy z „Kuriera Warszawskiego" (27.12. 37. Wyd. Poranne).

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr. 50

mógłby przecież posiadać gdziekolwiek chociażby jakieś małe siły, które by mu przyszły z pomocą. Takich sił jednakże papież nie posiada i nie potrzebuje, powtarzając za Chrystusem, że królestwo jego nie jest z tego świata... Największym bólem namiestnika Chrystusowego jest to, że stawia się go pod zarzutem nadużywania religii, dotkliwszym przez to, że to samo oskarżenie rzuca się pod adresem tylu czcigodnych braci wśród biskupów i kardynałów, pod adresem tylu kapłanów i wiernych, zawsze gotowych do posłuszeństwa wobec praw Boga, pragnących być nietylko dobrymi chrześcijanami, ale i dobrymi obywatelami, świadomymi swoich obowiązków społecznych zarówno wobec ludzi, jak i wobec Boga.

Przytoczyliśmy doniosłą mowę arcypasterza rzymskiego rozmyślnie w streszczeniu tak obszernym, aby nie uronić nic z jej istotnej i najważniejszej treści. Czy w treści tej zawiera się rzeczywiście coś, coby mogło posłużyć za pierwiastek otuchy dla szczerego i prawdziwego demokraty? Czy jest w niej choć jeden akord myśli, któryby usprawiedliwiał nadzieję, że w toczącym się konflikcie między widmami przeszłości a wymogami jutra kościół rzymski wraz ze swym naczelnym władcą stanie po stronie idei i postulatów ewolucji?

Daremnie w mowie Piusa XI szukalibyśmy tego, co jest podstawą i duszą demokracji: tezy, stwierdzającej głos boży w żywym, powszechnym głosie ludu. Głos ludu nie sięga uszu papieskich. W enuncjacji watykańskiej, jak w każdym typowym elaboracie kancelaryj dyplomatycznych, nie ma ani słowa o masach społecznych, o ich udrękach, potrzebach i dążeniach. Nie istnieją dla niej owe niezmierzone obszary niedoli, na których poniewiera się, krwawi się i cierpi obywatel współczesny, zwolna, stopniowo wyzuwany z zasadniczych praw ludzkich, politycznych i społecznych. Władca państwa watykańskiego nie szczędzi — to prawda! — słów gorzkich władcom Trzeciej Rzeszy, ale gorycz ta płynie łożyskiem tak ściśle odmierzonym, tak wykalkulowanym, że przypomina raczej listę strat i szkód, poniesionych z winy nielojalnego partnera, niż gniew proroków bożych, miotany na głowy tyranów i krzywdzicieli. Serce papiestwa stoi otworem dla trosk i skarg hierarchii kościelnej, ale milczy dyplomatycznie tam, gdzie chodzi o krzywdy prostego człowieka. Cierpienie ludzkie o tyle jest z wyżyn pontyfikalnych dostrzegane, o ile nosi płaszcz kardynalski, szarfy prałatów lub przynajmniej sutannę księżą. Chrystus, krzyżowany w osobie cierpiącego ludu, własnemu pozostawiony jest losowi. Tylko krzywdy uprzywilejowanych liczyć mogą na dostojne orędownictwo. Wobec krzywd pospolitych obowiązuje poprawna zasada „nieinterwencji". Tylko lekkomyślność dyktować może wiarę w to, że papiestwo gotowe jest w Niemczech stanąć w obronie wolności religijnej przeciw rządom totalistycznym Hitlera. Jak w dniach Bismarcka, tak samo dzisiaj kościół rzymski broni jedynie swoich własnych prerogatyw, swojej własnej potęgi.

Gdzie totalizm nie wchodzi w kolizję z duchowieństwem katolickim, tam Watykan nic nie ma mu do zarzucenia. Nie tylko nie podnosi skarg przeciw niemu, ale głośno błogosławi jego poczynaniom, wspiera jego miecz i uświęca jego zdobycze. We Włoszech kościół katolicki idzie ręka w rękę z Mussolinim; w Austrii był podporą Dolfussa w jego krwawej rozprawie z socjalizmem; w Portugalii jest sprzymierzeńcem dyktatury Salazara; w Hiszpanii jest towarzyszem broni generała Franco. Po stronie tego ostatniego, zresztą, stanął nie tylko kler hiszpański. Z sympatiami dla rebelii generałów hiszpańskich, usiłujących krajowi swemu narzucić ustrój faszystowski, oświadczyła się urzędowa prasa katolicka całego świata. Na międzynarodowym kongresie eucharystycznym, który rok temu (1937, luty) odbył się w Manili na Filipinach, wznoszono modły publiczne na intencję zwycięstwa gen. Franco. Kongresowi, który powitał przez radio sam papież, przewodniczył jako legat papieski jeden z kardynałów. A czyż trzeba przypominać gwałtowny i zapalczywy ton, w jakim Watykan gromił rząd i lud madrycki za jego obronę przeciw zbuntowanej juncie generałów?

Może właściwsze tutaj i wymowniejsze będzie przypomnienie, że po stronie tychże generałów opowiadał się jeszcze niedawno również i cały katolicki episkopat w Niemczech, zgromadzony na zjeździe dorocznym w Fuldzie. Episkopat ów w liście skierowanym do Adolfa Hitlera nie tylko śpieszył z hołdem wiernopoddańczym do stóp wodza totalizmu, nie tylko stwierdzał jego polityczne i moralne w narodzie niemieckim przewodnictwo, ale ponadto składał w jego ręce miecz do walki z Antychrystem. „Okropne położenie, które stało się udziałem nieszczęsnej Hiszpanii — głosił list biskupów, odczytany swego czasu z ambon wszystkich kościołów Rzeszy — daje nam wiele do myślenia... Nie będziemy kładli raz jeszcze nacisku na akty barbarzyństwa, których, ku grozie całego świata cywilizowanego, dopuszcza się motłoch poszczuty fałszywymi obietnicami wysłanników Moskwy... Zadanie przypadające w udziale naszemu narodowi narzuca się samo przez się. *Oby nasz Führer z pomocą Bożą zdołał to niesłychanie trudne zadanie wypełnić przy niezłomnym i wiernym współudziale wszystkich naszych rodaków*".

Jak widać z powyższego listu, biskupi katoliccy w Niemczech, po wybuchu rebelii faszystowskiej gen. Franco, a więc już w obliczu zdeklarowanej w pełni dyktatury Hitlera, ofiarowali temuż swe usługi i gotowi byli uznać w nim wybrane narzędzie Opatrzności. Co więcej: przyjmując bez zastrzeżeń propagandowy słownik totalizmu, w którym republikanizm i demokrację utożsamia się z intrygą bolszewicką, dostojnicy kościoła wręcz pchali rząd swego kraju do podjęcia krucjaty przeciw legalnemu rządowi republiki hiszpańskiej.

Dopóki kler rzymski spodziewał się, że przy głównej kwaterze hitleryzmu zajmie to samo uprzywilejowane stanowisko kapelana, jakie ma przy boku Mussoliniego i przy boku innych dyktatorów, póty nie było w jego szeregach miejsca na żądania wolności religijnej; nie było skarg na prześladowania religijne. Przeciwnie, w nadziei dzielenia władzy z Führerem, wspaniałomyślnie pasowano go na hetmana zbrojnych szyków, mających rozprawić się ze wszystkimi wrogami kościoła. Dopiero wtenczas, gdy totalizm niemiecki, w dążeniu do powszechnej niwelacji życia, położył ciężką swoją dłoń na dochodach i prerogatywach kleru, a także na pewnych przykrych konsekwencjach jego celibatu, podniesiono w Watykanie głos przeciw totalizmowi.

Czy w takich warunkach można głos ów uważać — jak chcą niektóre odłamy naszej demokracji —

za sprzymierzeńca w walce o wolność sumienia, o wolność myśli i przekonania, te słupy wytyczne wszelkiego ludzkiego postępu? Naszym zdaniem byłoby to złudzeniem: powtarzamy — pobożnym, ale złudzeniem.

Kto jedną ręką błogosławi totalizmowi generała Franco oraz jego krwawej, reakcyjnej rebelii, ten niema władzy moralnej, aby drugą wyklinać totalizm gdziekolwiek indziej.

W. RZYMOWSKI

POZWÓLMY MÓWIĆ HISTORII...

Bezpartyjność, partie i monopartyjność
w dawnych Sejmach polskich

Sejm obecny jest widownią szybkich przemian, niemal z dnia na dzień przekształcających jego oblicze. Pierwotne hasło, pod którym odbyły się wybory ostatnie, brzmiało: Sejm jest bezpartyjny, posłowie winni być izolowani od wpływów partyjnych z zewnątrz, winni wsłuchiwać się jedynie w szepty własnego sumienia. Koncepcja ta uzupełniona została podziałem reprezentantów na grupy wojewódzkie — Sejm miał tworzyć barwne folklorystyczne widowisko, coś w rodzaju żywej mapy. Ale nie uporano się jeszcze z uzasadnieniem tej doniosłej zmiany, kiedy przyszło uzasadniać coś wręcz przeciwnego. Oto bezpartyjny Sejm, w czasie wyjątkowo krótkim dojrzał i wydał owoc w postaci partii — tymczasem jednej, ale zato takiej, która już w dniu narodzin miała w jego murach zapewnioną absolutną większość.

Cała ta ewolucja nie jest pozbawiona pierwiastków, mających ciekawą wymowę dydaktyczną. Można powiedzieć, że Sejm nasz w swoim gorączkowym żywocie usiłuje już nie na przestrzeni lat, ale miesięcy dać nam poglądowy przykład rozwoju parlamentaryzmu w toku ostatnich kilku stuleci. Spróbujmy przeanalizować wymowę tej lekcji, a przekonamy się, że treść jej stać się może doskonałą okazją dla zwrócenia uwagi na pewne stronice historii dawnych sejmów polskich.

EPOKA

Sejmy Polski przedrozbiorowej były niewątpliwie w pewnym sensie bezpartyjne. „Bezpartyjność" była tam prostym wynikiem faktu, iż reprezentowana w nich była jedna tylko warstwa ówczesnego społeczeństwa, warstwa uprzywilejowana, monopolizująca dla siebie wszystkie polityczne prawa. Mimo tedy, iż wewnątrz niej mogły zachodzić poważne rozbieżności, spójnią była wspólna obrona przywileju przed resztą społeczeństwa. Stanowisko posła w sejmie szlacheckim zbliżone było do ideału głoszonego niedawno: był niezależny, nie krępował go żaden klub sejmowy, nikt nie narzucał mu programu politycznego. Inna rzecz jak pojmował on swoją niezależność. Historia wykazuje, że pojmowano ją przede wszystkim jako wolność sprzedawania się. Sprzedawali się wszyscy, kogo tylko chciano kupić. Mniejsze płotki poselskie były na żołdzie magnatów, ci zaś brali pensje od ambasadorów państw obcych. Brano od każdego, kto dawał; brano z kilku źródeł naraz i można śmiało powiedzieć, że była to główna droga dopływu obcych kapitałów do Polski. Proceder ten przybrał w XVIII w. zastraszające rozmiary. Dwukrotnie w r. 1776 i 1788 sejmy uchwalały zakaz przyjmowania „pensyj" zagranicznych. Jak pobłażliwy zaś był stosunek braci szlacheckiej do tej sprawy, jak posłowie bronili swoich interesów świadczy fakt, iż z roty przysięgi: „Pensji zagranicznej nie brałem i brać nie będę" — opuszczono na ogólne żądanie posłów zwrot „nie brałem" jako nie życiowy. Ba, dostojnik takiego kalibru jak prymas Ostrowski testamentem przekazy-

Do naszych Czytelników

STAJĄC OSIEMNAŚCIE MIESIĘCY TEMU NA ODRODZONYM POSTERUNKU, ZAMIERZALIŚMY ODRAZU WZNOWIĆ EPOKĘ JAKO PISMO TYGODNIOWE, ALE WÓWCZAS NIE UDAŁO SIĘ NAM TEGO UCZYNIĆ.

OBECNIE ROBIMY KROK POSTĘPU NA OBRANEJ DRODZE I POSTANAWIAMY WYDAWAĆ PISMO TRZY RAZY MIESIĘCZNIE. JAK DOTYCHCZASOWY, TAK SAMO I DALSZY ROZWÓJ EPOKI SPOCZYWA W CAŁOŚCI W RĘKACH CZYTELNIKÓW, BO ONI JEDYNIE STANOWIĄ OPARCIE NASZEGO WARSZTATU PRACY. EPOKA ŻYJE I ROZWIJA SIĘ WYŁĄCZNIE WYSIŁKIEM REDAKCJI I WSPÓŁPRACOWNIKÓW, KTÓRZY CZERPIĄ ZACHĘTĘ DO TRWANIA NA POSTERUNKU Z SYMPATII I MORALNEGO POPARCIA SWOICH CZYTELNIKÓW.

ODTĄD WIĘC EPOKA UKAZYWAĆ SIĘ BĘDZIE 5-GO, 15-GO I 25-GO KAŻDEGO MIESIĄCA. CENA PRENUMERATY WSKUTEK TEGO PODNIESIE SIĘ NIEZNACZNIE I WYNIESIE MIESIĘCZNIE ZŁ 1.50, KWARTALNIE ZŁ 4, ROCZNIE ZŁ 15.

PRZYJACIÓŁ EPOKI PROSIMY O PODAWANIE ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM NALEŻY PRZESŁAĆ NUMERY OKAZOWE.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA EPOKI

wał potomności 27 tys. zł. należne mu z kasy rosyjskiej, nie wypłacone z rocznej „pensji" 3.000 dukatów jaką pobierał *).

Koniec XVIII w. zamącił tę idyllę szlachecko-stanowego sejmu. W zgniłą atmosferę wdarły się podmuchy nadciągającej burzy; przeobrażeniu uległ obraz, jaki przedstawiała izba sejmowa. Popękała barwna mozajka województw, zaczęła coraz wyraźniej zarysowywać się inna linia podziału: wedle różnicy społecznych programów. Przeciwko większości rządzącej w myśl dyktanda kilku rodzin magnackich powstaje partia opozycji, partia reform społecznych. Jakkolwiek w sejmie szlacheckim nie mogła ona zdobyć większości, potęga jej tkwiła poza sejmem w tych warstwach, o które chciała poszerzyć Polskę, w świadomym programie społecznego postępu. Już sama próba uwzględnienia również interesów mieszczaństwa zburzyła zasadę regionalności reprezentacji sejmowej. Wykazała ona, że obywatele Polski dzielą się nie na zamieszkujących te lub inne województwa, lecz dzielą się na obrońców przywilejów cieniutkiej warstewki i na zwalczających te przywileje w interesie rozwoju całego społeczeństwa. Przełamanie „bezpartyjności" sejmu szlacheckiego, przeniesienie tam walki, jaka toczyła się w społeczeństwie między rządzącymi i rządzonymi, — to największa zdobycz polskiego parlamentaryzmu, to punkt zwrotny, w którym Polska wyszła ze średniowiecza.

Ale jednocześnie „wolność sumienia" posła została skrępowana, partia narzucała mu obowiązek solidarnej walki, klub sejmowy (a była klubem „Kuźnica Kołłątajowska") strzegł moralności poselskiej, piętnując każde sprzeniewierzenie, każdą zdradę. Król pruski dziwił się ogromnie, że opozycja Sejmu Wielkiego nie dawała się przekupić, że kwoty wyasygnowane na ten cel leżały nietknięte.

Wiek XIX zahamował dalszy rozwój „partyjnictwa". Sejmy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego pozostały w gruncie rzeczy wyłącznie szlacheckie, a tryumfująca w całej Europie reakcja nie dopuściła, aby przedostały się tam sprawy niepożądane. Mimo tych niesprzyjających okoliczności potęgujące się zróżniczkowanie w łonie samej szlachty doprowadziło ogół do uświadomienia sobie, że podział regionalny sejmu jest anachronizmem. Widzimy stałe próby zmontowania partii opozycyjnej, a w r. 1820 dochodzi do utworzenia klubu poselskiego mającego skupić wszystkie żywioły liberalne. Na jednym z zebrań tego klubu poseł Niemojewski złożył projekt, dążący do rozbicia „bezpartyjności" sejmu. Posłowie w myśl tego projektu, zamiast województwami, siedzieliby na sali sejmowej „według zgodności opinii" a więc tworzyliby grupy ideowo związane — partie.**) Projekt upadł, ale myśl w nim zawarta realizowała się niejako sama. Właśnie sejmy Królestwa dają doskonałą ilustrację, jak regionalna grupa posłów kaliskich przerodziła się w partię liberalno konstytucyjną, skupiającą, mimo utrzymanej nazwy „kaliszan", wszystkie pokrewne ideowo elementy. Podobną ewolucję przeszła w czasie Wielkiej Rewolucji partia Żyrondystów.

Już ówcześni świadomsi działacze rozumieli, że zróżnicowanie sejmu, stworzenie klubów poselskich ma znaczenie zasadnicze dla jego roli. *Tylko z ramienia zgodnej w poglądach grupy mógł wyjść dojrzały, przedyskutowany już projekt, tylko stamtąd mogła wyjść świadoma uzgodniona akcja. Sejm „bezpartyjny" był kupą posłów zdatną do tego jedynie, aby nią kierowano.* Ta właśnie podatność wyjaśnia nam dlaczego tak broniono się przed każdą próbą utworzenia partii. Pod tym względem historia początku XIX w. dostarcza nam nieocenionych doświadczeń.

Sejmy Księstwa i Królestwa były z góry, ustawą konstytucyjną, pozbawione wszelkiej inicjatywy. Konstytucja Napoleona powoływała sejm, aby maskował jego faktyczną dyktaturę wojskową; konstytucja Aleksandra kazała sejmowi zasłaniać rzeczywistą samowładzę króla-cara i rządu. Zrozumiałe, że wobec takiego założenia rząd świadomie przeciwdziałał wszelkiemu różnicowaniu się izby poselskiej, dążył do utrzymania idealnej „równiny". Tam bowiem, gdzie cała inicjatywa leży w rękach rządu posłowie nie powinni tworzyć żadnego własnego ośrodka myśli.

Okazało się jednak niebawem, że nawet taki „higieniczny" sejm potrafi płatać figle, że brak opozycji zorganizowanej potrafi zastąpić opozycja samorzutna. W trakcie poszukiwania lekarstwa na te nieprzyjemne niespodzianki już wówczas — 130 lat temu — dokonano wiekopomnego odkrycia: aby sejm był zupełnie pewny należy doń wprowadzić wyłącznie pewnych ludzi. Wynalazek ten zastosowano; wybory odtąd odbywały się przy użyciu całego aparatu rządowego, tam zaś, gdzie tą drogą nie udało się wyeliminować wybitniejszych opozycjonistów, osadzono ich poprostu pod kluczem. W ten sposób rząd Królestwa zarzucił metodę popierania „bezpartyjności" a zaczął tworzyć jedną partię, mającą ogarnąć wszystkich posłów — partię rządową.

Różnica między „partią" tego typu a partiami, które powstawały samorzutnie — np. w czasie Sejmu Wielkiego, czy partią „kaliszan" — jest dostatecznie wyraźna. Jedne powstawały pod naporem walk toczących się w społeczeństwie, były ich refleksem, powstający klub poselski miał oparcie poza sejmem, dzięki czemu mógł odegrać doniosłą rolę nawet przy niwielkiej liczbie członków. Demokraci mimo iż w sejmie powstańczym 1831 r. posiadali kilku zaledwie reprezentantów potrafili dzięki poparciu ludu miejskiego wycisnąć poważne piętno na pracach sejmu. W drugim wypadku — stronnictwo rządowe było tworem biurokratycznym, nie odzwierciadlało w żadnym sensie potrzeb społecznych. U kołyski już położono mu dwie racje bytu: posłuszeństwo i lojalność.

Podsumowując doświadczenia rozwoju polskiego parlamentaryzmu można stwierdzić: tak dziś jak i 150 lat temu „bezpartyjny" sejm jest możliwy wtedy, kiedy jest sejmem stanowym, tzn. reprezentuje tylko te wierzchołkowe warstwy, które drogą wzajemnych ustępstw zawsze mogą dobić targu; tak dziś jak i 150 lat temu jedna partia w sejmie nie oznacza nic innego jak tylko fakt, że poza sejmem istnieje siła wyższa, której jest on lojalnym narzędziem.

Jaka może być rola sejmu tak dobranego, rozporządzającego większością, stworzoną na mocy dekretu, pokazują aż nazbyt jaskrawo dzieje 1831 r.

---

*) W. Kalinka. Sejm Czteroletni. T. I. S. 346-7 i 350.

Wł. Konopczyński podaje cenę za jaką „uczciwie po kupiecku" sprzedany został sejm grodzieński w 1744 r. — oto 15 000 dukatów w monecie pruskiej i 40.000 talarów w monecie francuskiej. Suma ta wystarczyła, aby nie dopuścić do dyskusji nad żadnym z projektów, jakie miały się znaleźć na porządku dziennym. (Konopczyński: Od Sobieskiego do Kościuszki S. 109 in.).

**) H. Więckowska. Opozycja liberalna w Kr. Kongr. S. 83.

Sejm, który „nie śmiał nawet prosić uniżenie", „sejm karierowiczów", jak go nazywa Mochnacki, stanąwszy w chwili przełomowej na czele narodu, potrafił jedynie gasić zbudzoną w społeczeństwie wolę powstańczą, potrafił być parawanem dla ukrytej i jawnej ugody z carem. Obóz demokratyczny, podejmując walkę z Chłopickim i Skrzyneckim, musiał uderzyć i w ich protektorów, w sejm. W płomiennych słowach żądał Mochnacki rozwiązania sejmu, żądał wyłonienia nowej, rzeczywistej reprezentacji narodu. „Złóżcie namiestniczą narodu władzę — wołał Mochnacki — powróćcie do nicestwa, z którego was napróżno wyrwać chciała rewolucja. Uznajcie tym wspaniałomyślnym zrzeczeniem się, samych siebie za ludzi zdatnych do wszystkiego, ale nie do tej roli, którą wam los, jakby przez ironię, jakby przez szyderstwo i naigrawanie się poruczył". Rzucał w twarz sejmowi najtwardszy, nieodparty argument: „Wybrani zostaliście pod wpływem zniszczonego rzeczy porządku. Wasz mandat ustał, bo wszystko się dokoła was zmieniło prócz ciasnych pojęć i trwożliwego ducha waszego".

Zdobyć i uratować niepodległość narodu mogła tylko heroiczna wola całego społeczeństwa; tylko sejm wybrany przez całe społeczeństwo; mógł je wprząc do wielkiego dzieła wyzwolenia, mógł wydobyć maksimum środków i sił. Rozumiał to doskonale Mochnacki, kiedy wołał, prosił i zaklinał: *„Trzeba zwołać kongres narodowy, bo ojczyzna jest w niebezpieczeństwie".*

Niewypełnienie tego naczelnego, elementarnego postulatu stało się przyczyną zaprzepaszczenia tych kolosalnych sił i środków, jakie tkwiły w masach polskich, a które napróżno obudzić i rzucić na szalę wypadków próbował Maurycy Mochnacki.

W. K. BIEŃKOWSKI

Z dnia na dzień

W IMIĘ HONORU I LUDZKOŚCI

Prof. Mieczysław Michałowicz i senatorka Regina Fleszarowa w imieniu zarządu Klubu Demokratycznego wystosowali list do mec. Zygmunta Nagórskiego treści następującej:

„Wielce Szanowny Panie!

Na wiadomość o napadzie, którego padł Pan ofiarą, tym bardziej oburzającym i w naszych nawet stosunkach niesłychanym, że napad ów miał miejsce po zlikwidowaniu przez Pana z bronią w ręku, zgodnie z tradycjami polskiego honoru żołnierskiego, sprawy, wynikłej na Walnym Zebraniu Adwokatów, a sprowokowanej zachowaniem się części tegoż zebrania, wyrażamy Panu, zasłużonemu działaczowi niepodległościowemu, obrońcy oskarżonych synów włościańskich, rzecznikowi legalizmu, kultury ludowej i ideałów demokratycznych w Polsce — naszą serdeczną sympatię"

Podzielając uczucia i intencje Klubu Demokratycznego, Epoka przyłącza się w zupełności do listu powyższego. Dołączamy również swój głos do chóru protestów wszystkich uczciwych i kulturalnych Polaków przeciwko kanibalskim praktykom, które plugawią i poniżają nasze życie.

WYDEPTANYM ŚLADEM CUDZEGO BUTA

W Wilnie odbył się wiec prawicowej młodzieży akademickiej, poświęcony walce z komunizmem. Obok zwykłych żądań - ghetta ławkowego w szkole średniej i nieprzyjmowania asystentów i docentów Żydów na uniwersytet, młodzi faszyści domagają się rozwiązania następujących organizacyj *„komunistycznych":* 1) na uniwersytecie *Legionu Młodych, Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej i Młodzieży Ludowo-Kosynierskiej;* 2) na całym obszarze ziem północno - wschodnich *T. U. R.-u, „Wici" i ZNP.* Wszystkie te organizacje akademickie, robotnicze i chłopskie to, zdaniem polskich uczniów Hitlera ośrodki propagandy komunistycznej. Że nauczycielstwo, zrzeszone w ZNP, szczepi komunizm w niewinnych duszach dziecięcych — o tym zapewnia oddawna cała prasa ciemnogrodzka. Nie od dziś reakcja społeczna, kulturalna i polityczna wszystkich odmian, nie przebierając w środkach, prowadzi wściekłą kampanię przeciw nauczycielowi — kampanię, za którą kryje się generalna ofensywa przeciw oświacie i kulturze. Bo są w Polsce bardzo jeszcze potężne ośrodki, którym nie na rękę jest upowszechnienie oświaty wśród mas ludowych, ośrodki którym szczególnie zależy na utrzymaniu w ciemnocie i analfabetyzmie wielomilionowej rzeszy ludu wiejskiego. Oświata jest przecież potężną bronią ludu w walce o lepsze jutro — o demokrację i dobrobyt. Niedarmo więc organ „oświeconego" konserwatyzmu *„Polityka"* (ex-„Bunt Młodych") żąda przeprowadzenia *„żelazną ręką czystki w ZNP"!* Pod tym względem nie ma różnic między młodą a starą konserwą.

Ale ryczałtowe zaliczenie T.U.R.-u, Wici, akademików - ludowców i młodych piłsudczyków do kategorii związków komunistycznych jest rzeczą dość nową. Do tej pory macano raczej grunt i w poszczególnych tylko wypadkach, nie generalizując, zarzucano tym organizacjom „komunizowanie". Uchwały wiecu wileńskiego zwiastują generalną już ofensywę przeciw demokratycznemu ruchowi młodzieży.

W tej walce z najchlubniejszymi, wolnościowymi tradycjami narodu polskiego spadkobiercy Branickich, Ponińskich i Wielopolskich podciągają pod pojęcie komunizmu wszystko, co staje na przeszkodzie hitleryzacji Polski.

SZKODLIWE UOGÓLNIENIA

Dlaczego uważamy za szkodliwe nadmiernie uogólniające i ryczałtowe oskarżenia o komunizm, skierowane przeciw całym odłamom naszego społeczeństwa?

Że stają się one nieraz ciężką a niezasłużoną krzywdą dla grup i jednostek niewinnych, tego nie ma potrzeby uwydatniać. Ale co ze szczególnym podkreślić trzeba naciskiem, to fakt, że krzywda w tym wypadku nie kończy się na jednostkach i grupach jednostek. Fałszywe alarmy, zwracające zatrwożoną uwagę opinii w niewłaściwym kierunku, szkodzą Państwu i szkodzą społeczeństwu.

Szodzą Państwu, gdyż mylą czujność i orientację organów, powołanych do walki z działalnością obcych agentur, naprawdę zagrażających naszemu bezpieczeństwu. Kto chce czoło stawić niebezpieczeństwu, ten musi umieć je ująć we właściwych granicach. Kto chce walczyć z chorobą, nie może współdziałać w zacieraniu granic, dzielących części chore od zdrowych.

Jednocześnie fałszywe alarmy szkodzą i społeczeństwu. Szkodzą mu, gdyż stępiają jego odporność; osłabiają wrażliwość na niebezpieczeństwo istotne: to, które nie jest urojeniem i które każdej chwili może złowrogo zapukać do naszych ścian.

Niedarmo stare doświadczenie ojców naszych przekazało nam mądre przysłowie o pastuszku, któremu powierzono pieczę nad trzodą owiec. Pastuch znalazł zabawę w tym, aby niepokoić wieś swoją okrzykiem: wilki! wilki! Raz i drugi zabawa się udała.

Ale jakiż był jej koniec?

BEZINTERESOWNE SAMOUPOKORZENIE

Noworoczny numer „Dziennika Ludowego" przyniósł felieton literacki, poświęcony krytyce „Janosika z Tarchowej", nowego utworu wierszowanego młodego poety Dobrowolskiego.

Krytyk p. Ami trafnie podnosi wartości artystyczne poematu. Ale kończy swój felieton taką niespodzianą petycją pod adresem Akademii Literatury:

„Na całokształt pracy poetyckiej Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego, a zwłaszcza na jego ostatni poemat powinni zwrócić uwagę panowie z Akademii Literatury z takim trudem szukający kandydatów do „nagrody młodych".

Nastręcza się pytanie: odkąd to „Dziennik Ludowy", organ świata robotniczego, złożył berło władzy, wieńczącej młodość i poezję w dłonie panów Goetla, Kadena, Zielińskiego oraz innych bonzów antykwariatu?

STROŃSKI O GDAŃSKU

Stanisław Stroński powitał Nowy Rok nową serią utyskiwań, wywołanych niepokojem o sprawy Gdańska. I trzeba przyznać, że niepokój, któremu daje wyraz, jest najzupełniej uzasadniony. Stroński ma bezsporną słuszność, gdy mówi o „ponurej całości dzisiejszego stanu rzeczy" polskich w Gdańsku.

Ale gdzież — spytamy — poszukał on miejsca, aby swą „wielką troskę" wyrazić? Miejsce obrał w „Wieczorze Warszawskim". A więc w dzienniku, który jest jednym z najgłośniejszych chwalców i solenizantów koniunktury obecnej.

Czy można mieć mniej szacunku dla swego własnego słowa?

WYTWÓRNIA WIELKICH LUDZI

Trzy miesiące temu proklamowano, jak wiadomo, utworzenie Konfederacji Polskiej do walki z wrogami narodu. Niestety ani endecy ani konkurencyjne grupy oenerowskie z pod znaku „Falangi" i Związku Młodej Polski do „konfederacji" nie wstąpiły. Inicjatywa sześciu panów z ABC nie doprowadziła do konsolidacji obozu „narodowego".

Niedawno jednak ukazał się pierwszy numer pogromowego pisemka pod szumnym tytułem *„Reduta Narodowa"*. Znajdujemy tam artykuł, którego autor przypomina zasługi wymienionych panów w walce o zbawienie narodu, przyczem podkreśla, że szlachetni ci mężowie z ABC z góry zrezygnowali z jakichkolwiek aspiracyj wodzowskich:

„Doprawdy, że ogłosić Konfederację Polską i nie uzurpować sobie z góry „wodzostwa" mogą tylko naprawdę *Wielcy Ludzie*. I to jest największy, powiem, atut moralny Konfederacji Polskiej. *Jeżeli sięgniemy do historii*, to zobaczymy, że takich atutów *żadne państwo, żadne stronnictwo a nawet żaden ruch* w tym stopniu, co twórcy Konfederacji Polskiej, nie mieli".

Po takich zapewnieniach dla nikogo chyba nie może ulegać wątpliwości, że na przestrzeni dziejów żaden kraj ani ruch ideowy nie widział tak Wielkich Ludzi (dużymi literami!), jak owych sześciu Mężów Opatrznościowych. Tylko... nikt nie jest prorokiem w ojczyźnie. I w samym obozie „narodowym" zdania w tej sprawie okazały się bardzo podzielone. Kierownik czonowego Związku Młodej Polski, p. Jerzy Rutkowski twierdził np. w wywiadzie prasowym, że jednym z największych ludzi naszej epoki jest w Polsce p. Bolesław Piasecki, wódz „Falangi". Jest to oświadczenie niewątpliwie bardzo miarodajne. Ale cóż w takim razie sądzić np. o pp. Czerwińskim, Prószyńskim, Todtlebenie, Zaleskim, których wielkość p. Rutkowski pominął wymownym milczeniem? Jak ma się w tej trudnej sprawie zorientować szeregowy narodowiec? Kogo uznać za wielkiego człowieka? Komu podporządkować się jako Wodzowi?

EKONOMIA P. KARCZEWSKIEGO

Wychodzi w Polsce takie pismo, „Ruch Gospodarczy". Wtajemniczeni twierdzą, że ma być to organ poświęcony teorii gospodarczej O. N. R., jego „falangowej" odmiany. Chcielibyśmy polecić to pismo szerszej publiczności. Oczywiście, nie dlatego, byśmy podzielali poglądy „przełomowych ekonomistów". Nie, chodzi nam poprostu o to, że wszystkie „Szpilki" i „Cyruliki" nie potrafią wyprodukować przez cały rok tyle prawdziwego, tym prawdziwszego, że mimowolnego humoru, co jeden numer tego organu gospodarczego.

W zeszycie z 15 grudnia 1937 r. podaje jakiś p. Kaszubski taką doprawdy wstrząsającą nowinę, że waluta złota panuje dziś na świecie dlatego, że „w r. 1860 agent giełdowy Mordachaj założył międzynarodowy związek finansiery, oparty na gromadzeniu złota". Prawdopodobnie dlatego już na kilkaset lat przed tym złoto było pieniądzem światowym. „Agent giełdowy Mordachaj", jeszcze w łonie prababki, stworzył teorie merkantylistów (parę set lat przed r. 1860!), dyktował, ciągle z łona prababki, politykę gospodarczą królów Francji i apostolskich cesarzy Austrii, ba nawt politykę — któżby pomyślał! — państwa kościelnego. „Wyżej wspomniany Mordachaj", ściągnął również, ciągle w łonie prababki, na kilkaset lat przed swym urodzeniem, haracz z narodów, którym narzucił „fetysz złota". Sprytne są te Mordachaje, niema co! Ale O.N.R. jest jeszcze sprytniejszy i oto Mordachaj zdemaskowany przez p. Leona Mikołajczyka i Wł. Kaszubskiego, ku wielkiemu zawstydzeniu wszystkich ekonomistów i polityków, wszystkich profesorów historii i ekonomii całego świata, którzy dotąd nic nie wiedzieli o szatańskim spisku, uknutym lat już bądźcobądź siedemdziesiąt temu, w okresie, kiedy p. Wł. Kaszubski przebywał jeszcze w tym samym miejscu, gdzie „wyżej wspomniany Mordachaj" za panowania merkantylizmu.

Ale to dopiero początek. „Ruch Gospodarczy" propaguje z zapałem inflację. Znać, że jego redaktorzy nosili jeszcze, jak to się mówi, koszulę w zębach, gdy Polska przechodziła już raz tę zachwalaną przez nich operację. „Nadużywać sztuki czytania" oenerowcy naogół nie lubią. Może więc p. inż. Karczewski — inny autor artykułów w „Ruchu Gospodarczym" poprostu nie wiedzieć, że inflacja taka, jaką on propaguje, to poprostu ograbienie drobnych ciułaczy, gwałtowne obniżenie zarobków robotniczych i pracowniczych, pogorszenie, wskutek zmniejszenia zbytu na produkty rolne, położenie przeważnej części mas chłopskich. Może nie wiedzieć, że jedynymi, którzy na tym zarobią będą wielcy kapitaliści i obszarnicy, którzy groszami spłacą podatki państwowe, pozbędą się długów i utrzymają w swych rękach folwarki i fabryki. Gotowi jesteśmy, z wrodzonej skłonności do myślenia jak najlepiej nawet o przeciwniku, przypuścić, że p. Karczewski doparwdy tego wszystkiego nie wie. Ale i zwyczajna niewiedza nie uprawnia, zdaniem naszym, do szukania argumentów w dżungli.

Bo oto, co za bajeczną historię opowiada nam p. Karczewski. W Kongo belgijskim chciano zebrać pewną ilość owoców kokosowych. Murzyni, dzicy ludzie, nie bardzo się kwapili do pracy, z której nic nie mieli. Wobec tego „postanowiono tę produkcję sfinansować". Ogłoszono, że każdy murzyn ma zapłacić dwadzieścia franków podatku. Nowiutkie dwudziestofrankówki leżały gotowe w urzędzie. Tylko, by je dostać trzeba było przynieść tyle owoców kokosowych, ile można zebrać w ciągu jednego miesiąca. Gdy murzyni nie spieszyli się do płacenia podatku, sekwestratorzy zafantowali im... żony. By wykupić żony, murzyni zebrali orzechy, dostali dwudziestofrankówki i zanieśli je do urzędu skarbowego. W ten sposób orzechy były dostarczone, murzyni mieli żony, a urząd — dwudziestofrankówki.

„W takim państwie nie istnieje kwestia braku pieniądza" — triumfuje p. Karczewski. Święta prawda. Nietylko kwestia braku pieniądza. W takim państwie nie istnieje kwestia pieniądza wogóle. Ani kwestia polityki gospodarczej czy jakiejkolwiek innej. W takim państwie istnieje tylko kwestia bata, kwestia rewolweru i karabinu maszynowego, przy pomocy którego wymusza się od

bezbronnej ludności kokosy dla wielkich trustów kolonialnych i dwudziestofrankówki dla szajki łupieżców, sekwestrujących z polecenia tych trustów żony „poddanych", dopóki nieopłacą haraczu. No i istnieje niewątpliwie jeszcze jedna kwestia: że pewnego pięknego dnia baty mogą zawieść i murzyni mogą cały „urząd podatkowy" powiesić na tych samych palmach kokosowych, z których zbierali dlań orzechy, byle wykupić swe żony.

A swoją drogą — czy to nie świetny obraz prawdziwego ideału totalistycznego: cała ludność kraju zamieniona w niewolników, produkujących „kokosy" dla garści rekinów kapitału, pilnowana przez zbrojnych dobrze płatnych opryszków na służbie tego kapitału? Czy to nie obrazowy skrót rzeczywistych stosunków w niektórych krajach ościennych, w których czerpią natchnienie różne „Ruchy Gospodarcze", i inne „Jutra Pracy"?

PRZYJACIELE KS. TRZECIAKA...

Jak wiadomo, policja francuska w chwili obecnej likwiduje zakrojony na szeroką skalę spisek faszystów francuskich znany pod skrótem C.S.A.R. Śledztwo toczy się jeszcze — to też dopiero po jego zakończeniu poinformujemy naszych czytelników szczegółowo o tej aferze, i wynikających z niej wnioskach, pouczających nie tylko dla francuskich demokratów. — Na razie chcielibyśmy wspomnieć tylko o kilku faktach ujawnionych mimochodem, niejako na marginesie samego spisku.

Oto z C. S. A. R.-em współpracowała w Tuluzie na terenie departamentów południowych inna organizacja „narodowa", której nazwy pisma nie podają. Organizacja ta, na równi z C.S.A.R.-em, gotowała się do zamachu faszystowskiego i w tym celu zbierała wszelkie dane o dyzlokacji policji, „gwardii ruchomej", wreszcie wojsk regularnych, nawiązywała kontakty w armii i t.d. Młodzi zwolennicy jej pracowali z zapałem, wierzyli, że to dla Francji, dla Narodu, dla Ojczyzny... A w rzeczywistości? Kierownikiem organizacji był pan... von Ortweg, agent niemieckiego wywiadu. Jego współpracownicy obsiedli sztab organizacji, nawet klucz szyfrowy brzmiał „Nürnberg".

Czy i w Polsce nie mieliśmy czegoś podobnego? Było u nas pismo „Jutro", bardzo „narodowe", bardzo oenerowskie, zlekka hoppelilskie. Stawało na baczność przed Bolesławem Piaseckim, pisywał w nim artykuły wstępne p. Waciutyński, kolportowali je — obok rzezimieszków spod ciemnej gwiazdy — uczciwi, fanatyczni młodzi chłopcy, oczadzeni faszystowską propagandą. Wierzyli, że to dla Polski, dla Narodu, dla Ojczyzny... A gdy policja bliżej zajęła się sławnym „narodowym" pismem, obok złodziejstw p. Sendlikowskiego, obok żydowskich dostawców (nabranych notabene przez sprytnego aferzystę), pokazała się cicha, skromna figurka kierownika administracji, p. Poeckha. Stary znajomy z oficyn p. Goebbelsa. Ale czy tylko p. Goebbelsa? Doświadczenie zagranicy mówi, że p. Goebbels prowadził za sobą wszędzie swych kolegów z berlińskiej Bendlerstrasse...

Nie koniec na panu von Ortweg, właścicielu hiszpańskiego paszportu, austriackiego obywatelstwa i... niemieckiego etatu służbowego. Nie tylko w Tuluzie praca rodzimych faszystowskich pseudo-patriotów zazębiała się o pajęcze nici hitlerowskiej agentury. Broń, znaleziona w składach C.S.A.R.-u pochodzi z włoskiej fabryki Berreta w Turynie i z niemieckich zakładów Schmeissera w Nadrenii. A wiecie, którędy szła? Przez Lizbonę i Irun. Faszystom gen. Franco nie trzeba już broni przydatnej przede wszystkim w walce ulicznej. Trzeba im solidniejszych narzędzi wojny: tanków i samolotów. Oddali więc część swych zapasów francuskim kolegom. Berlin, Rzym, Lizbona, Salamanka... jedna w drugą stolice nacjonalistycznej międzynarodówki. „Centrum C.S.A.R. — pisze ostrożny i zrównoważony „Populaire", organ kierownika śledztwa, min. Dormoy — nie znajduje się we Francji. Dokumenty znalezione na Rue de Provence dają dokładne informacje. Kierownicza instancja organizacji ma swą siedzibę w Niemczech".

I tutaj znowu spotykamy naszych polskich znajomych. Pisaliśmy już w Nr. 23 „Epoki" o rewelacjach szwajcarskich w sprawie „Instytutu erfurckiego", o p. Fleischhauerze i jego roli, o jego prawej ręce Pottersie, alias de Pottere, false Aleksander Le Clerque, zmieniającym narodowość z niemieckiej na węgierską i odwrotnie, zależnie od potrzeby. Wspominaliśmy o jego polskiej „Inspektionsreise". Tymczasem policja szwajcarska ujawniła nowe dane o tym jegomościu. Wiadomo już dziś, że p. Potters, ten, który Polskę zaszczycił swą wizytą w lecie 1935 r., zbierał za pośrednictwem aresztowanego faszysty szwajcarskiego Toedtli dane wojskowe i przekazywał je biuru 3-b wywiadu niemieckiego.

Otóż ten p. Potters występuje w aferze C.S.A R. w nowej postaci. Tym razem jako baron de Pottere, z pochodzenia Austriak, naturalizowany we Francji. Był on, znowu z polecenia p. Fleischhauera, doradcą spiskowego sztabu, kto wie, czy nie łącznikiem „kierowniczej instancji", mającej swą siedzibę w Niemczech, o której mówi „Populaire". P. „baron" zwiał na czas i znajduje się już w bezpieczeństwie, w „Vaterlandzie". Kto wie, może wnet zechce uszczęśliwić swą obecnością inne kraje. I tu znów wracamy do spraw polskich.

Dochodzenia francuskie już pozwoliły ustalić, na równi zresztą z dochodzeniami szwajcarskimi, że „Instytut erfurcki" płk. Fleischhauera to niemiecka placówka propagandowo-wywiadowcza. Instytut ten nadal prowadzi swą robotę w Polsce, przyjmuje odwiedziny polskich działaczy (księdza Trzeciaka!), wysyła swych kierowników „Inspektionsreisen" po Polsce. Jak długo ma to trwać jeszcze?

Wypada więc zapytać po raz drugi: czy naszym ośrodkom, powołanym do czuwania nad bezpieczeństwem Rzeczypospolitej, wiadomo coś o polskiej „podróży inspekcyjnej" p. de Pottere, notorycznego, na międzynarodową skalę, szpiega niemieckiego, o jego bytności we Lwowie w lecie 1935 r.? Czy wiadomo im kogo i co inspicjował p. de Pottere w tym czasie w Polsce? Czy wiadomo naszym władzom, że niektórzy polscy działacze faszystowscy jeżdżą — jak np. ksiądz Trzeciak — na kongresy zwoływane przez tę instytucję i prowadzą potem w Polsce robotę w duchu jej uchwał?

ANEMIA NA WSZECHNICACH

Z „Gazety Polskiej" dowiadujemy się o stanie zdrowotnym młodzieży akademickiej w Polsce: „co się tyczy typów budowy, przeważa typ długolinijny, asteniczny — 63,53 proc. mężczyzn; drugie miejsce zajmuje typ mięśniowy, dalej typ trawienny, a wreszcie typ mózgowy — zaledwie 0,39 proc. ogółu badanych mężczyzn! Typ asteniczny dał 71.56 proc. ogólnej liczby chorych na gruźlicę..., chorych o typie mózgowym znaleziono 0,14 proc... Druga plaga społeczna to choroby weneryczne".

Jednocześnie „Kurier Polski" omawia plagę alkoholizmu wśród młodzieży akademickiej: „pijatyki są, niestety, na porządku dziennym. Pije się prywatnie i publicznie. Każda niemal zabawa akademicka kończy się pijatyką i to pijatyką z awanturami i skanda-

mi. Pije się na balach, wieczorkach — wszędzie. Wódka stała się najważniejszym elementem akademickich rozrywek. Wileński „Kurier Powszechny" omawiając ten temat w felietonie p. t. „Gaudeamus igitur!" daje taki komentarz: „Alkoholizm, gruźlica, weneria. Przewaga psychopatycznych asteników. Brak mózgowców. Oto więc obraz kliniczny polskiej młodzieży akademickiej — w cyfrach obiektywnych, w ścisłej statystyce. Czy będziemy się teraz dziwić skąd ten urodzaj na pikieciarzy, pałkarzy, żyletkarzy i innych grandziarzy?"

Ale tutaj rodzi się inne niepokojące pytanie: jak wśród dzikich praktyk i zboczeń młodzieży akademickiej, właściwych ciemnocie i barbarzyństwu, może się krzewić kultura umysłowa? Jak zwłaszcza w takich warunkach może się przyjmować nauka dla niej samej, dla jej prawdziwej wartości idealnej?

Jeżeli zgodzimy się, że celem nauki powinno być wytwarzanie i potęgowanie bezpośrednich zainteresowań umysłowych, to dla pełnego obrazu stosunków panujących dziś na wszechnicach potrzebne byłyby ścisłe i źródłowe dane jako odpowiedzi na pytania: 1) jakimi pobudkami kieruje się młodzież obecnie, zapisując się na studia wyższe, 2) w jakim stopniu działa tu zamiłowanie nauki, związane z samym przedmiotem 3) w jakim stopniu działa pośredni interes umysłowy, związany z widokami korzyści praktycznej, jaką nauka ma zapewnić w przyszłości.

Oprócz wyniku badań stanu zdrowotnego młodzieży, uzyskanie możliwie ścisłych danych, dotyczących jej stanu umysłowego, pobudek działania, dążeń przekonań, ideałów — pozwoli poznać dopiero dokładniej prawdę rzeczywistości akademickiej.

Lux in tenebris lucet

OŚWIADCZENIE

Ażeby nie dopuścić do powstania pozorów, jakoby ogół sił nauczycielskich polskich szkół akademickich uznawał zasadę „ghetta ławkowego", my, niżej podpisani, stwierdzamy, że byliśmy i jesteśmy przeciwni wszelkim dążeniom do ograniczenia praw ze względów wyznaniowych, narodowościowych czy rasowych, zwłaszcza jeżeli te ograniczenia mają dotyczyć jakiejkolwiek części naszych uczniów. W poczuciu współodpowiedzialności za to, żeśmy nie zdołali zapobiec stanowi, który panuje obecnie w większości polskich szkół akademickich, stwierdzamy, że stan ten uważamy za ciężką krzywdę dla kultury polskiej i wielkie niebezpieczeństwo dla jej przyszłego rozwoju.

KS. PROF. EDMUND BURSCHE, U.J.P.; PROF. JAN ST. BYSTROŃ, U. J. P.; DOC. JÓZEF CHAŁASIŃSKI, U. J. P.; DOC. WILHELM CZARNOCKI, U.J.P.; PROF. STEFAN CZARNOWSKI, U.J.P.; PROF. JAN DEMBOWSKI, U. S. B.; DOC. HENRYK ELZENBERG, U. S. B.; DOC. NATALIA GĄSIOROWSKA-GRABOWSKA, U. J. P.; PROF. MARCELI HANDELSMAN, U. J. P.; PROF. STEFAN HOROSZKIEWICZ, U. Pozn.; DOC. JANINA HURYNOWICZ, U.S.B.; PROF. CEZARIA BAUDOUIN DE COURTENAY JĘDRZEJEWICZOWA, U. J. P.; KS. PROF. RUDOLF KESSELRING, U.J.P.; PROF. EDWARD KLICH, U. Pozn.; PROF. WITOLD KLINGER, U. Pozn.; PROF. TADEUSZ KOTARBIŃSKI, U.J.P.; PROF. MANFRED KRIDL, U.S.B.; DOC. JAN KRUSZYŃSKI, U.S.B.; PROF. TADEUSZ KURKIEWICZ, U. Pozn.; PROF. LUDWIK KRZYWICKI, U. J. P.; DOC. WITOLD ŁUNIEWSKI, U. J. P.; PROF. STANISŁAW MAŁKOWSKI, U. S. B.; DOC. TADEUSZ MANTEUFFEL, U.J.P.; PROF. JAN MAZURKIEWICZ, U.J.P.; PROF. MIECZYSŁAW MICHAŁOWICZ, U.J.P.; DOC. WANDA MOSZCZEŃSKA, U.J.P.; PROF. ROMAN NITSCH, U.J.P.; PROF. STANISŁAW NOWAKOWSKI, U. Pozn.; DOC. MARIA OSSOWSKA, U.J.P.; DOC. STANISŁAW OSSOWSKI, U.J.P.; DOC. HANNA POHOSKA, U.J.P.; PROF. STANISŁAW PONIATOWSKI, U.J.P.; PROF. ZYGMUNT RADLIŃSKI, U.J.P.; PROF. FRANCISZEK RASZEJA, U. Pozn.; PROF. STEFAN RÓŻYCKI, U. Pozn.; PROF. JULIUSZ RUDNICKI, U.S.B.; PROF. STANISŁAW RUNGE, U. Pozn.; PROF. ADAM SKAŁKOWSKI, U. Pozn.; PROF. STANISŁAW SŁOŃSKI, U.J.P.; PROF. STEFAN SREBRNY, U.S.B.; ZAST. PROF. DOC. WIKTOR SUKIENNICKI, U.S.B.; PROF. WŁADYSŁAW SZENAJCH, U.J.P.; PROF. ZYGMUNT SZYMANOWSKI, U. J. P.; DOC. MIECZYSŁAW TRETER, U.J.P.; PROF. HENRYK UŁASZYN, U. Pozn.; PROF. FRANCISZEK VENULET, U.J.P.; PROF. TADEUSZ WAŁEK-CZARNOCKI, U.J.P.; PROF. WŁADYSŁAW WITWICKI, U.J.P.; KS. PROF. KAROL WOLFRAM, U.J.P.; DOC. SEWERYN WYSŁOUCH, U.S.B.; PROF. KAZIMIERZ ZAKRZEWSKI, U. J. P.; ZAST. PROF. BOHDAN ZAWADZKI, U.S.B.; PROF. FLORIAN ZNANIECKI, U. Pozn.; PROF. ANTONI ZYGMUND, U.S.B.

Poznań, Warszawa, Wilno, grudzień 1937.

Organizatorzy zwracają się do wszystkich wykładających w szkołach akademickich, którzy zgadzają się z treścią powyższego oświadczenia, a z którymi nie mogli się porozumieć ze względów technicznych, z prośbą o przyłączenie swych podpisów.

Solidaryzując się z treścią powyższego oświadczenia, zgłosili nadto swoje podpisy:

PROF. JAN WASILKOWSKI, U.J.P.; PROF. ALEKSANDER RAJCHMAN, W. W. P.; DOC. WACŁAW NIEDZIAŁKOWSKI, S. G. G. W.; PROF. DEZYDERY SZYMKIEWICZ, Polit. Lwowska.

Przytaczając powyższe oświadczenie grupy profesorów, zasłużonych na polu nauki i oświaty, witamy je zarazem, jako głos, zwiastujący i, naprzekór wszelkim przeciwnościom, potwierdzający radosną prawdę: lux in tenebris lucet.

Tak! światło nie zamiera w ciemnościach... Dopóki ośrodek tego światła trwa broniony na mężnej reducie doborowych umysłów, póty wszystkie drogi rozwoju przed kulturą polską stoją otworem. Nieliczność tego grona okupuje odwaga jego członków. Siłę bowiem, żywotność i rozpęd myśli, jaką grono tych ludzi przedstawia, mierzyć należy skalą naporu, który każdy z nich w swej codziennej, samotnej a więc najtrudniejszej pracy przezwycięża, aby pozostać sobą, aby pozostać w zgodzie ze swym sumieniem.

Czyż trzeba dodawać, że w walce, którą toczą owi szermierze światła, chodzi już nie tylko o prawa obywateli Żydów, ale o honor myśli polskiej, tej myśli, która gwiazdą prometejską świeciła u czoła Kopernika i Jana z Czarnolasu, Mickiewicza i Słowackiego?

W rzeczywistości chodzi tu o tę rację stanu, która była racją stanu Polski Jagiellonów i Polski Piłsudskiego. Chodzi o te wartości duchowe, które sprawiły, że Polska, upadłszy jako Państwo, nie zginęła jako naród. Chodzi o ratowanie tych podstaw moralnych narodu, które są najpewniejszą legitymacją, w imię której z narodami Europy możemy mówić jak równi z równymi.

EPOKA

GŁOS MAJĄ MŁODZI

Spójrzmy poza własne podwórko

„Numerus nullus, numerus clausus, czy wolny napływ studentów, bez różnicy wyznania i narodowości?"

Oto pytania, które górują wszechwładnie nad pewnymi odłamami prasy! co gorsza, które zasłaniają wszystkie inne. Zrozumiałe, że fakt bicia Żydów przez ich kolegów innego wyznania lub narodowości jest tak potworny, że trudno, by na to przede wszystkim nie zwracano uwagi. Przeraża bowiem, iż wśród studentów, którzy przecież mają niby w przyszłości tworzyć trzon kulturalnej Polski, dzieją się rzeczy podłe i świadczące o zaniku inteligencji. Ale stwierdzając to, nie wolno zapominać o rzeczy zasadniczej i najważniejszej: o tym, że wyższe uczelnie istnieją dla nauki.

Obywatel z księżyca, po krótkim pobycie u nas, nabrałby przekonania na podstawie lektury prasowej, że wyższe uczelnie, to jakieś miejsca schadzek krewkiej młodzieży, która tam swój temperament wyładowywa, miejsce, gdzie szuka ona ofiar dla swej żądzy bicia, że to jakaś odmiana staro-hiszpańskiej „coridy". Prasa nasza bowiem, bez różnicy odcieni, jeśli jakieś wiadomości z tego terenu podaje, to dotyczące jedynie tego, gdzie i kto kogo pobił, czym i ilu było zranionych, a od siebie potępia tylko, lub aprobuje. Najwyżej odzywa się czasem nieśmiały głos, że większość młodzieży chce się przecież uczyć. To wszystko. O samej nauce — ani słowa!

A przecież z tych kilkudziesięciu tysięcy ludzi spora większość uczy się jednakże. Czego się uczy? Jak się uczy? Czym się kieruje przy doborze studiów? Jakie stąd wnioski? Jakie horoskopy na przyszłość? Jaki jest poziom studiowania? Jakie korzyści będzie miała nauka? Jakie — społeczeństwo? Oto kapitalne pytania, na które od kilku dobrych lat nikt już prawie nie szuka odpowiedzi.

Jest rzeczą powszechnie znaną, że trzonem, nadającym ton ogółowi dzisiejszego społeczeństwa akademickiego, jest młodzież inteligencka, t. j. ta, która wywodzi się z ugrupowania ludzi (nie klasy; inteligencja bowiem na kilka klas społecznych da się podzielić) pracujących umysłowo. Więc mogą to być potomkowie dygnitarzy, jak i urzędników X kategorii. Ale nad całą niemal inteligencją naszą ciąży jakieś przekleństwo, które czyni z niej zbiorowisko ludzi małych, nie zdolnych do walki z życiem na szerszą skalę, ludzi, którzy potrafią myśleć tylko o swoim podwórku, o zarobkach i obiedzie, a których niezwykle mało obchodzą wszelkie sprawy życia zbiorowego, jeśli bezpośrednio ich nie dotyczą. Oczywiście, że nie całość tak wygląda, ale niestety większa część.

Otóż owa rozwrzeszczana „patriotycznie" i „narodowo" młodzież, a także i ta bierna, cicha, na wszystko się zgadzająca, nosi na sobie ów balast „własnopodwórkowiczowstwa". Owszem, zgadzam się, że nawet bojówkarz, a może przede wszystkim bojówkarz jest szczerze przekonany, że zbawia Polskę, że pracuje dla narodu; nie myśli tak zapewne szary studencik, który nigdzie się nie angażuje. Ale jeden i drugi (zdawałoby się) jest przede wszystkim człowiekiem studiującym. I na tym odcinku obydwaj wyglądają jednakowo. Gdyby bowiem urządzić ankietę wśród ogółu studentów i zapytać w niej: „Dlaczego studiujesz na wyższej uczelni? Czym się kierowałeś przy wyborze studiów?" — to przy szczerości zapytanych, otrzymalibyśmy od większości takie odpowiedzi: „Studiuję, by dostać posadę", „studiuję na tym wydziale dlatego, że ukończenie go pozwoli mi w przyszłości nieźle zarabiać".

No i proszę — oto szerokie horyzonty!

Człowiek, który studiuje dla posady jedynie, — nie wyciągnie z nauki głębszej korzyści dla siebie, ani nie wniesie do niej żadnych nowych wartości. A co w dalszym życiu? Ile jest wart osobnik, jako zawodowiec, pracujący w jakiejś poważnej dziedzinie życia, jedynie z myślą o napełnianiu kieszeni? I co za korzyści ma z niego ów zawód? A jak można pchać się na wyższe uczelnie, nie czując potrzeby studiowania, kiedy dziś całe masy młodych ludzi stoją poza wyższą uczelnią? Nie mówię wyłącznie o tych, co nie mają środków finansowych, ale nawet wśród średniozamożnych jest dużo takich, którzy chcieliby kształcić się np. na prawie, czy medycynie, ale wobec natłoku konkurentów odpadają. Iluż wartościowych i naprawdę rozmiłowanych w tych przedmiotach — rok-rocznie nie dostaje się tam, a iluż nieszczęsnych kpów, którym wszystko jedno, co „wkuwać" — zajmuje ich miejsca?

Wobec takiego stanu rzeczy — nie można powiedzieć, że większość młodzieży akademickiej studiuje; ona tylko „obkuwa się" z konieczności, aby „złapać" dyplom - uprawnienie zarobku. Oczywiście, że nie wolno tak bez zastrzeżeń potępiać wszystkich naszych studentów i studentek. Oczywiście, że olbrzymią rolę odgrywają tu warunki natury materialnej. Czyż można z lekkim sercem iść np. na filozofię tylko dlatego, że się ma w tym kierunku zainteresowania, jeśli wiadomo, że strona finansowa życia magistra filozofii jest godna

Stefan Zygmunt Czarnowski

Odchodzą jeden po drugim pisarze, uczeni, żołnierze Polski Ludowej, których życie, pełne romantycznego uroku, upłynęło w nieustępliwej walce o ideały demokracji i człowieczeństwa.

Po Limanowskim, Daszyńskim, Wasilewskim odszedł parę tygodni temu Andrzej Strug, dziś znowu żegnać wypada Stefana Czarnowskiego. Śmierć zabiera wybitnych ludzi myśli i czynu w czasie, kiedy ich obecność staje się niezastąpioną. Odchodzą w chwili, kiedy swoboda myśli i sumienia jest bardziej zagrożona niż kiedykolwiek, a walka o panowanie światła czy mroku toczy się z jednej strony na rozumy, z drugiej zaś na kastety i pałki. Również na wszechnicach, w dotychczasowych przybytkach nauki i w kuźniach prawdy.

Tu właśnie prof. Stefan Czarnowski, poza swoją płodną działalnością pedagogiczną na katedrze socjologii i historii kultury, mocno bronił szańca humanizmu i demokracji, obleganego przez tłuszczę ciemnogłowia. Jako człowiek mocnych przekonań i wzniosłych zasad wiedział, iż w warunkach dzisiejszego życia musi być nie tylko siewcą wiedzy, której ziarna szczodrą ręką rozsiewał, ale obowiązany jest także bronić jej godności i dostojeństwa przed pohańbieniem. Te swoje obowiązki jako człowiek ideałów demokratycznych i ludowych, którym nigdy się nie sprzeniewierzył, prof. Stefan Czarnowski pełnił do ostatniej chwili życia.

Żal wielki, że odszedł, a odszedł w sile wieku męskiego! Strata wielka, żałobnym kirem spowijająca naukę i kulturę polską!

ubolewania? To są sprawy b. ciężkie i uczciwe ich załatwienie wymaga b. dużej odwagi i często machnięcia ręką na jaki taki dostatek w przyszłości.

Ale od ludzi, daleko poza własne podwórko patrzących, można i trzeba takiego właśnie uczciwego załatwienia sprawy wymagać.

Tego rodzaju ludzi mamy — niestety — na terenie akademickim b. mało. Bez względu jednak na to, czy ów istniejący stan rzeczy potępiamy, czy nie, musimy stwierdzić, że patrzenie na naukę pod kątem posady, pod kątem niezbędnych wiadomości do egzaminów — pociąga za sobą opłakane następstwa dla samej nauki.

Szereg arcyciekawych, wspaniałych działów ma mało słuchaczy. — Po co im? Co to da?

I gdy się widzi, jak profesor w małej salce, wobec kilku czy kilkunastu osób wykłada rzeczy, które zdają się być objawieniem, które chciałoby się rozdać całemu społeczeństwu (masie! cieszcie się!), to wydaje się, że, wobec tego pustego audytorium, nauka jest skarbem, zamkniętym w skrzyni i wstawionym do piwnicy.

Kiedy ów skarb będą mogły zużytkować te zastępy, które go rzeczywiście pragną?

Kiedy wyższe uczelnie będą zamknięte dla ciasnych „własnopodwórkowiczów", nie mających nic wspólnego z nauką, a otwarte dla tych, którzy z głębokiego zainteresowania nie tylko chcą „łapać" dyplomy, ale i studiować? Oczywiście, że nie przyjdzie to samo przez się. Nie nastąpi także w dzisiejszym układzie społecznym.

Nie można jednak ani chwili zwlekać z wyjaśnieniem zasadniczego nieporozumienia.

Wyższe uczelnie to zakłady naukowe, a nie biura pośrednictwa pracy.

WŁODZIMIERZ ROZWADOWSKI.

„My chcemy innego świata"

socjalizm w życiu światłego Europejczyka

Z kapitalnej pracy H. G. Wellsa, próżno dotychczas czekającej na przekład polski — „Próba Własnego Życiorysu" — dajemy Czytelnikom naszym niezwykle ciekawy fragment, poświęcony charakterystyce i krytyce współczesnego socjalizmu. Fragment ten jest świetnie ujętym obrazem roli, jaką w rozwoju umysłowym znakomitego pisarza angielskiego odegrały nadzieje i aspiracje, związane z doktryną wyzwolenia klas pracujących. Nie potrzebujemy chyba przypominać, że obraz ten, nakreślony ręką powieściopisarza, nie zaś uczonego, przesycony jest motywami osobistymi i przemawia nie tyle przedmiotowością rozumowania, ile wagą indywidualnego przeżycia.

EPOKA

Większość osób oświeconych zdaje sobie sprawę — przynajmniej w ogólnych zarysach — z charakteru przemian, których widownią jest świat teraźniejszy, oraz z nakazów, które nami kierują.

Rozmach odkryć i wynalazków w dziedzinie materialnej, a także inowacyj w metodach handlowych i finansowych wyzwolił — któż tego nie rozumie? — tyle energij ludzkich, że, nasamprzód, konieczność uciążliwej pracy przestała istnieć; następnie, wszystkie części świata powiązane ze sobą zostały stosunkami o wiele ściślejszymi od tych, które dawniej łączyły Londyn i Manchester; na koniec, popędy niszczycielskie człowieka zostały wyposażone tak hojnie, że wojny nieograniczonej na naszej planecie niepodobna odtąd wyobrazić sobie bez jednoczesnego przeświadczenia o zagładzie całej naszej cywilizacji.

Umysły światłe zrozumiały, że wszechświatowa gospodarka państwowa, kierująca się planem jednolitym, a ograniczająca zespół działalności ludzkich w imię dobra powszechnego, jakkolwiek trudna do urzeczywistnienia, stała się koniecznością; i że aż do tej chwiii, w której będzie ona wprowadzona w życie, dzieje rasy naszej nieuchronnie wykazywać muszą szereg wstrząśnień katastroficznych z rzadkimi jedynie fazami pokoju i pomyślności.

Jesteśmy, jako rodzaj, wciągnięci w proces, który nie może być ani wstrzymany, ani odwrócony. Niepodobieństwem jest powrót do dawnych warunków życia, stosunkowo ustalonych; próby cofania się przedłużyłyby tylko okres klęsk i pogromów. Dziejowa przeto konieczność przymusza nas do stworzenia organizacji społecznej i gospodarczej, odpowiadającej naszemu okresowi rozwoju. Im prędzej świat zda sobie sprawę z tej konieczności, tym krótsze będą nasze dotkliwe doświadczenia, tym lepiej dla rodzaju ludzkiego.

W taki sposób już dzisiaj coraz liczniejszy zastęp umysłów widzi obrót zdarzeń. Ten sposób widzenia stanowi część równie nieodłączną w ogólnym obrazie naszego życia, jak wirowanie ziemi, ciśnienie powietrza lub siła ciążenia na poziomie morza.

×

Ruch socjalistyczny można określić, jako grupę systemów umysłowego ustosunkowania się wobec niepokojących następstw tej wielkiej przemiany, o której mówiłem wyżej. Pojawił się on jednocześnie z przemiany tej początkiem i szedł równym z nią krokiem. Ale nie odrazu zrozumiał on sam siebie. Nikt zrazu nie zadawał sobie pytania, dlaczego socjalizm, jako ruch masowy, narodził się w tej właśnie dobie, nie zaś wcześniej. Nowy ruch nigdy nie zaczyna od tego, aby badać swe pochodzenie.

Różne formy socjalizmu były próbą przystosowania życia do faktów obecnych, które nawet w oczach swoich sprawców, nabierały znamion bohaterskich i rewolucyjnych inowacyj. Fakty te były dziełem ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy z sił, pchających ich do wysiłku przystosowania ustroju do nowych warunków i zdobyczy technicznych. Socjaliści w owych czasach sądzili, że ruch ich był koncepcją w pełni konstruktywną; że był rzeczą bezwzględnie nową. Zapytywali siebie, dlaczego to sprawy miałyby iść ciągle tokiem nieodmiennym, skoro w rzeczywistości stawały się one tym lub owym; skoro w każdym razie zmieniać się musiały. „My chcemy *innego* świata" — mówili, i tę *inność* nazywali socjalizmem. Nie uświadamiali sobe wszakże tego, że ów św at nowy, w takiej lub innej postaci, nieodwołalnie narodzić się musiał; że świat nowy, nowy co do swej potęgi i swych kolosalnych proporcyj, stał już na progu.

Socjalizm rozwinał się naprzód w Anglii, po tym we Francji, gdyż rewolucja przemysłowa i mechaniczna ogarnęła naprzód Anglię, następnie Francję, a później dopiero resztę świata. Od czasów Roberta Owe-

na ludzie różnego kalibru, skupiając się pod ogólnym znakiem socjalizmu, próbowali wypracowywać plany, kształtować nowe stosunki gospodarcze i społeczne zamiast tych, które uległy zwyrodnieniu lub zostały zmiecione przez owe nowe ślepe siły. Nie domyślali się oni jednak, że te dawne społeczne i gospodarcze stosunki skazane były na zagładę w każdym razie, bez żadnego z ich strony współudziału pomocy.

Ani w owych niby-konstruktywnych wysiłkach, ani w niedoli społecznej, nie było nic istotnie nowego. Anglia była widownią głębokich przeobrażeń gospodarczo-społecznych od czasu wojny Białej i Czerwonej Róży, i wpływ tych przeobrażeń na jej dzieje społeczne oraz na jej literaturę jest bardzo widoczny. Na długo przed Owenem i użyciem słowa „socjalizm", istnieli reformatorzy społeczni, odosobnieni wprawdzie, nie mniej przeto energicznie przeciwstawiający się niedolom czasu. Tomasz Moore (niedawno przez kościół katolicki zaliczony w poczet świętych) był jednym z tych pierwszych reformatorów społecznych, opierających się na państwowym komuniźmie Platona. Ustawa o filantropii publicznej, pochodząca z okresu rządów królowej Elżbiety, była jedną z pierwszych prób praktycznego przekształcenia stosunków społecznych. Defoe i Fielding byli całkowicie przeświadczeni o konieczności przeciwstawienia oporu i tamy siłom, rozkładającym społeczeństwo. Całe dzieje ludzkie są dziejami kolejnych przystosowań. Jedyną różnicą istotną między teraźniejszością a wiekami dawnymi jest olbrzymia różnica w proporcji oraz w tętnie tej potrzeby przystosowania.

×

Socjalizm od początku ujawnił swą niedostateczność, jako odpowiedź na zagadnienie społeczne. Dowodem tego jest rozbieżność jego planów, jego pęd do osłaniania się zaszczytnymi etykietami, znamionującymi słabość koncepcji źródłowej. Tu i owdzie przybrał on godło „chrystianizmu praktycznego"; po przejściowej wszakże fazie powodzenia ten socjalizm chrześcijański wyrodził się w mglistą organizację miłosierdzia wobec ubogich. Ruskin i Morris, powodowani odrazą do spłycenia i spospolitowania, jakie wytwórczość mechaniczna wniosła w życie sztuki ludowej, wystąpili z socjalizmem estetycznym, z potępieniem metod maszynowych i fabrycznych. Socjalizm francuski był w początkach swych równie ułamkowy i rozbieżny, jak angielski, jakkolwiek bardziej logiczny. Silnie uwydatniała się w tym nowym ruchu dążność do ucieczki od świata: dążność do tego, aby zgromaadziwszy małe grono wybranych, wszcząć w jego obrębie nową ludzkość, poza granicami owego społecznego układu, na pozór nieuleczalnego i sztywnego, który w nich wzbudził tyle odrazy. Mimo skłonności mojej do pomniejszania sławy Marxa, uznać muszę, że on to zrozumiał pierwszy niezmierną prawdę, zamkniętą dla swych poprzedników i współcześników: zrozumiał i wytłumaczył, że współczesny tok życia społecznego nie był niekończącym się pasmem krzywd i upośledzeń, ale porządkiem, który się zmieniał i odwracał sam siebie.

Praktyczna organizacja wymiany wpływów oraz wzajemnej krytyki idej socjalistycznych jest zadaniem, które czeka dopiero na podjęcie i wypełnienie. Reguła pospolitą w owych czasach (a w pewnej mierze i dzisiaj) jest to, że każda grupa myślicieli, częstokroć zaś i każdy myśliciel indywidualny, przystępowali do ogólnych zagadnień reformatorstwa, nie znając lub lekceważąc wszelkie inne współczesne sobie ogniska reform. Każdy zaczynał od jakiegoś częściowego doświadczenia w ogólnym zespole nadciągających przemian. Żaden z nich nie ogarnął zagadnienia w jego całości...

×

Wrogowie socjalizmu w owych czasach zwykli byli oskarżać socjalistów — podobnie jak niegdyś poganie oskarżali pierwszych chrześcijan — o wspólność żon. W rzeczywistości nie posiadali oni wtedy nawet wspólnych idej. Z jednym wszelako wyjątkiem. Była pewna idea, która jednoczyła ich wszystkich i nadawała im znamię socjalistów. Idea ta głosiła, że czynnik „zysku", rządzący życiem gospodarczym, jest rzeczą złą samą w sobie.

Potępienie czynnika „zysku" było zasadniczą postawą, wspólną wszystkim socjalistom. Na tym punkcie byli jednomyślni i Owen, i Ruskin, i Webb, i Shaw, i Hyndmann. Pozostawali oni w wojnie otwartej z teorią współczesną, utrzymującą, że pogoń za zyskiem, żądza posiadania i zagarniania dóbr coraz więcej, a jednocześie współzawodnictwo tych interesów i żądz między sobą, stanowiły główną siłę popędową w rozwoju społecznym. Okrzyk Proudhona' „Własność to — kradzież!" — był formułą ówczesnych socjalistów.

Podstawowym wkładem, jaki wniósł Marx do ówczesnej teorii socjalizmu, było wykazanie, bardzo przekonywające, że system wytwórczości, poruszanej dźwignią współzawodnictwa i zysku nie mógł być systemem stałym. Współzawodnictwo — wyjaśnił Marx — prowadzi do końcowego zwycięstwa współzawodnika górującego nad innymi (albo też pewnej grupy współzawodników), który posiądzie wszystko i pokusi się o poddanie całej ludzkości nieznośnemu jarzmu. Nieznośnemu: stąd — wywodził on — zrodzi się konieczność rewolucji.

Wszyscy socjaliści dążyli do wyrugowania zysku z życia gospodarczego i wskutek tego pragnęli obalić własność prywatną poza użytkowaniem z przedmiotów osobistej potrzeby. Z tych wychodząc założeń zadawano sobie pytanie: „A więc w jaki sposób należy pokierować życiem gospodarczym owej przyszłej wspólnoty?". Tutaj drogi się rozchodziły (i w dalszym ciągu się rozchodzą) na wszystkie strony widnokręgu.

Atakowano indywidualizm, atakowano zasadę wolnej ręki osobistego bogacenia się w walce ze współzawodnikami. Własność rolną i kapitał przemysłowy postanawiano „włożyć we wspólnotę". Ale nikt nie dawał określenia owej „wspólnoty", nikt bowiem jej nie znał; nikt nawet nie sądził, że warta jest, aby się z nią zapoznać. Co stało nam w oczach z siłą halucynacji, to — świat, wyzwolony z pęt rozjuszonej walki o własność; świat, w którym twórcze wysiłki jednostek nie ulegały zniekształceniu i zwyrodnieniu wskutek chciwości zysku. Opromieniało nas jakieś wielkie światło: światło, które nas olśniło i nie pozwalało widzieć nic poza nim.

Socjalizm podówczas, istotnie, był czymś oślepiającym. Był on tak dalece olśniony sam sobą; olśniony tym, że odkrył swoją prawdę, w tym okresie walki o byt, walki każdego o siebie, że wydawał się niezdolny do dalszego pójścia swą drogą. Lękał się on roztrwonić, rozproszyć tę świetlaną wizję, któ-

rą stworzył. Trwał jakby w stanie uniesienia, graniczącego z bezwładem, uchylając się przed nowymi próbami, przed dalszym ciągiem swej myśli, gdyż to mogłoby sprowadzić w ruchu rozterki. Socjalizm czekał, aby świat sam przyszedł do niego.

Podobny stan paraliżu zdarzał się nieraz w rozwoju idej. Biologia, na przykład, po udowodnieniu ewolucji, zatrzymała się na przeciąg jednego pokolenia, powtarzając i opracowywując tę olbrzymią doktrynę. Podobnie fizyka zastygła na czas pewien nad niepodzielnym atomem i zasadą zachowania energii. Wszelako socjalizm zachodni wykazał i wykazuje nadal okres zastoju dłuższy, niż którakolwiek z nauk. Zastój ten trwa już niemal od półwiecza.

Istniały szczególne przyczyny tego zaniku siły rozpędowej w ideologii socjalistycznej. Z jednej strony, w ruchu angielskim, górujące nad wszystkim poszukiwanie kompromisów politycznych, tłumiło dyskusję. Z drugiej strony, socjalizm lądowo-europejski cierpiał na brak ducha analizy i eksperymentu. Ponadto, socjalizmowi od początku brakło ludzi o trybie myślenia naukowym. Socjalizm był zasadniczo wytworem myśli przednaukowej, i zachował tę zdrożną skłonność do oświadczeń nieomylnych, które nauka doświadczalna słusznie i raz na zawsze wyszydziła. Nikt nie rzekł z westchnieniem: „Co robić teraz!". Nikt nie powiedział: „Mamy wielką zasadę; pozyskaliśmy źródło wielkiego natchnienia, odpowiadające ogólnym wymogom i warunkom naszych czasów. Poddajmy je teraz poważnej próbie doświadczenia: wypracujmy niezbędne szczegóły oraz metodę!".

Zamiast tego, obwieszczono socjalizm jako bezwzględny środek zaradczy na wszystkie niedole i niedomagania. Obwieszczono to w zdaniach dziwnych, mistycznych, nacechowanych dogmatyzmem. „Proletariat" miał powstać przeciwko „burżuazji", „wywłaszczyć" ją i t. d. Ale jak, w jaki sposób, na jakiej drodze miały te wielkie przemiany się dokonać, nad tym się nie zastanawiano. Nie brano też w rachubę trudności, które należało pokonać, aby osiągnąć stan upragniony.

Pierwszą trudnością, jaka piętrzy się przeciwko wywłaszczeniu właścicieli ziemskich i kapitalistów na rzecz wspólnoty, jest brak tego, co ja nazywam „właściwym odbiorcą". Socjaliści byli dawniej tak niecierpliwi w osiągnięciu praktycznego zastosowania swych idej, że robili wszystko, aby w pomysłach swych tę lukę pominąć. Usiłowali oni wmówić w siebie, że jaka bądź instytucja administracyjna lub rządowa, jakaś rada opiekuńcza, jakiś sejmik, jakieś zgromadzenie, potrafią grać rolę owej „wspólnoty" i kierować najbardziej skomplikowaną gospodarką...

×

Fakt, że w socjaliźmie nie zdołano dość wcześnie rozwinąć koncepcji organizacji kierowniczej, koncepcji, będącej nieodzownym następstwem elementarnych przewidywań społecznych — fakt ten wyrósł z nieuzasadnionego skojarzenia socjalizmu z opozycją, z polityką buntu przeciwko współczesnym warunkom społecznym. Zrazu, w początkowym, patriarchalnym socjaliźmie Roberta Owena było niesłychanie mało demokracji; ideę socjalizmu z demokracją związał naprawdę dopiero Marx. On również pogłębił, rozszerzył, spotęgował chęć buntu w demokracji nowoczesnej i w niezadowoleniu oraz fermencie wydziedziczonych poszukał siły motorowej, dostatecznej dla rewolucyjnego przeobrażenia i rekonstrukcji społeczeństwa. Myśl, że masa tych, którzy w walce o zysk przegrywają, stać się może armią, walczącą na rzecz obalenia własności prywatnej, miała w sobie ziarno słuszności. Stąd jednak nie wynikało bynajmniej, żeby masa ta zdolna była do opanowania idei własności kolektywnej, a tym bardziej do kompetentnego pokierowania zarządem takiej własności. Na tym gładkim i kruchym lodzie marksiści jęli ślizgać się rączo i biegle. Stopniowo lecz uparcie walka klas została idei socjalistycznej narzucona tak dalece, że socjalizm przestał być ruchem ku rozleglejszej organizacji życia gospodarczego i przybrał charakter organizacji, mającej zwracać produkty kradzieży — zwracać je wszystkim w ogóle, nikomu zaś w szczególności.

Nawet ci spośród socjalistów, którzy sami siebie nie zaliczali do stronników Marxa, pociągnięci zostali nieświadomie prądem jego doktryny. W ten sposób w Anglii, w Rosji, w Niemczech i wszędzie indziej socjalizm poniesiono w masy robotnicze nie jako ich szansę i nadzieję, ale jako ich żądanie i uroszczenie, co oznacza rzecz zupełnie różną.

Łącznie z powyższym, twórcy i przewodnicy socjalizmu popełnili także błąd inny. Nie zrozumieli, że zachodziła zmiana w rozmiarach i naturze organizmów społecznych. Nie spostrzegli, że socjalizm nowoczesny wymaga wielkich terytoriów. Wielu socjalistów nie uświadomiło sobie po dzień dzisiejszy owej przemiany w porządku wielkości. Radca miejski lub okręgowy, będący typem polityka w szeregach Labour Party, jest ostatnią osobą, zdolną zrozumieć i uznać znikanie granic, rozsadzające owe zacisza i kojce parafialne, którym zawdzięcza on swe stanowisko. Jeden z polityków takich o głośnym nazwisku, b. premier Ramsay MacDonald, sprzeciwił się zasadzie proporcjonalnego głosowania przy rozległych okręgach wyborczych, gdyż w takich warunkach stałoby się dla domorosłego męża stanu rzeczą niemożliwą urabianie wyborców, i kandydaci w rodzaju MacDonalda zniknęliby z widowni politycznej. Podobnie wielu stronników Labour Party, w ścisłej pozostających styczności z budowniczymi i przedsiebiorcami miejscowymi, nieświadomie znaleźli niepokonane trudności, gdy chodziło o zastąpienie ich drobnych lokalnych sklepików przez administrację, szersze obejmującą obszary.

Byli to wszystko zacni i nieposzlakowani socjaliści. Ale przedstawiali oni socjalizm wiejskiej lub miasteczkowej studni, nie zaś socjalizm zaopatrzenia w wodę całej prowincji. I jakże dotychczas mogło być inaczej?

Istniejące podziały terytorialne i terenowe pozostawiają wszystkie sprawy żywotne wciąż jeszcze w rękach ludzi o typie lokalnym. I dopóki dzielić się będzie i nadal terytoria administracyjne wedle zasad wieku XVIII, człowiek nawet wyzwolony z krępów miejscowych, ożywiony działalnością szerszą i otwarty dla zagadnień rozległych, będzie w rzeczywistości pozbawiony swych praw obywatelskich wskutek niemożności zupełnego oddania się miałkiej polityce swego najbliższego otocza. Może on wyobrażać niewątpliwą i doniosłą większość w opinii światowej, ale nadal pozostawać będzie w mniejszości w każdej z osobna parafii. W istocie: usiłujemy unowocześnić świat, w którym umysły nowoczesne odarte są ze wszelkiego wpływu!

H. G. Wells.

Polsce brak miliona izb

Po Kongresie mieszkaniowym

Pierwszy w Polsce Kongres Mieszkaniowy, który zgromadził blisko 400 delegatów z całego kraju, ustalił jedno bezspornie: kwestia mieszkaniowa, ściślej kwestia budownictwa dla ludności pracującej, stała się problemem społecznym, państwowym. W dodatku problemem palącym. Wyraz tej niewątpliwej prawdzie dała większość mówców kongresowych, którzy w swoich deklaracjach podkreślali konieczność rozpoczęcia przez rząd szerokiej akcji budowlanej.

Na porządku dziennym staje tedy sprawa znalezienia odpowiednich źródeł finansowych, które umożliwiłyby opracowanie szerokiego planu budownictwa mieszkaniowego.

Nie są to zresztą rzeczy nowe. Wiele już było projektów, słusznych, rzeczowych, które, niestety, nie doczekały się realizacji. Od szeregu lat prowadzono oficjalne badania nad możliwościami stworzenia źródeł finnasowania budownictwa w skali masowej. Inicjatywie premiera Bartla przede wszystkim, zawdzięczamy sumiennie, rzeczowo opracowane studia Komisji Ankietowej, która w sprawozdaniu nie zawahała się stwierdzić, że *„bez poprawienia warunków mieszkaniowych, bez umożliwienia każdej rodzinie posiadania mieszkania, nie może być mowy o zdrowym rozwoju życia ekonomicznego, moralnego i politycznego"*.

Komisja ankietowa w rezultacie swych prac, postawiła wniosek, który po dziesięciu bezmała latach, trudno czymkolwiek uzupełnić: „Wzorem państw zachodnich wzmocnić dopływ środków na cele rozbudowy przez obciążenie podatkowe oraz natychmiastowe dotacje budżetowe".

Krótko, ale dobitnie.

Wnioski i wskazania Komisji Ankietowej spoczywają po dziś dzień w aktach ministerialnych. Polityka mieszkaniowa, a trzeba wierzyć że taka istniała, poszła po linii pobudzania tak zw. inicjatywy prywatnej. Skutki tej polityki, polityki kredytowania budownictwa pasożytniczego, doprowadziły do tego, że w r. 1937 zagadnienie mieszkaniowe w Polsce zostało określone jako „jątrząca rana".

Wysuwając tezę: — kalkulacja społeczna nie handlowa — podkreślamy, że realizacja tej zasady nie jest łatwa. Wymaga ona utworzenia odpowiednich, poważnych źródeł finansowych na pokrycie przez państwo deficytu mieszkaniowego. A jednak źródła te muszą się znaleźć. Źródła te są. Trzeba tylko do nich sięgnąć. Widzieliśmy, że już dziesięć lat temu wskazywała na nie palcem komisja, powołana do życia przez prezydium Rady Ministrów — „obciążenie podatkowe oraz natychmiastowe dotacje budżetowe". Oto podstawa finansowa przyszłego planu budownictwa społecznego.

Nie możemy, rzecz jasna, nie usiłujemy zresztą, podać dokładnego, cyfrowego budżetu, nie próbujemy ustalić sum, milionów, jakie dadzą się uzyskać przez obciążenia podatkowe choćby, na cele rozbudowy. Zadanie to pozostawiamy całkowicie pracownikom przyszłego, wierzymy Centralnego Urzędu dla Spraw Budownictwa. Chodzi nam jedynie o wskazanie istniejących źródeł dochodu, które ze społecznego choćby punktu widzenia powołane są do finansowania budownictwa mieszkaniowego dla ludzi pracy.

Oto najważniejsze:

OPODATKOWANIE WŁAŚCICIELI NIERUCHOMOŚCI Z TYTUŁU OTRZYMANYCH CZYNSZÓW MIESZKANIOWYCH.

Sprawa staje się szczególnie aktualna wobec zapowiedzianego zniesienia ochrony lokatorów. Głównie dzięki wydatnemu obciążeniu kamieniczników (do 40% wysokości czynszów) budownictwo mieszkaniowe w Niemczech i Austrii np. mogło poczynić po wojnie tak wielkie postępy. Warto w tym miejscu podkreślić, że sfery gospodarcze za cenę podniesienia komornego skłonne były kilka lat temu zgodzić się na obciążenie podatkowe czynszów na cele rozbudowy.

Rzecznikiem tego postulatu był m. in. p. Czesław Klarner, który w r. 1930, w pracy wydanej nakładem Izby Przemysłowo - Handlowej w Warszawie*), pisał:

> „Jeśli idąc za przykładem Niemiec, podniesiemy komorne w starych domach do norm przedwojennych, to wynika stąd możliwość obciążenia nieruchomości przedwojennych na rzecz rozbudowy". (str. 191).

Żądania sfer gospodarczych zostały uwzględnione z „nadwyżką". I to słoną. Komorne doszło do poziomu przedwojennego, a na dodatek znosi się ochronę lokatorów. Opodatkowanie czynszów ściąganych przez kamieniczników winno stać się podstawą jutrzejszego funduszu rozbudowy.

PODATEK SPECJALNY OD NIEZABUDOWANYCH PLACÓW.

„Większy stosunkowo udział w tworzeniu funduszu na budowę mieszkań winni brać właściciele placów, korzystający ze wzrostu renty gruntowej nie tylko bez pracy, ale bez żadnego udziału w przyczynach, powodujących ten wzrost. Podatek od prawdziwej wartości tych placów, podatek od przyrostu wartości, tym większy im bardziej spekulacyjny bywa charakter tranzakcji, mogą dać poważne sumy".

Zdanie to zostało wypowiedziane przez najwybitniejszego znawcę spraw mieszkaniowych w Polsce, zmarłego niedawno Teodora Toeplitza, który w ten sposób uzasadniał konieczność opodatkowania niezabudowanych placów na rzecz budownictwa społecznego.

PODATEK OD WYNAGRODZEŃ ZA PRACĘ, OPŁACANY PRZEZ PRACODAWCĘ.

Stoimy na stanowisku, że obowiązkiem pracodawcy jest troska o mieszkania zatrudnianych pracowników. Uważamy, że pracodawca powinien dać możność zatrudnionym robotnikom korzystania z odpowiednich higienicznych, zdrowych mieszkań. Jesteśmy przeciwko budownictwu patronalnemu, przeciwko budownictwu domów robotniczych przez przedsiębiorców, gdyż stwarza to w rezultacie większą zależność robotnika od pracodawcy. Wobec powszechnego, niskiego poziomu płac w kraju, podatek mieszkaniowy opłacany przez pracodawcę należy traktować jako dopłatę, jako dodatek mieszkaniowy do zarobków.

Idąc za doświadczeniem zachodnio - europejskim, należy ustawowo zmusić Instytucje Ubezpieczeń Społecznych, Instytucje Oszczędnościowo - Kredytowe (np. P.K.O., K.K.O.), Towarzystwa Asekuracyjne, itp. do lokowania wolnych nadwyżek (przyrost kapitału własnego i rezerwy) w budownictwie społecznym. Słuszność tego postulatu nie może być absolutnie kwestionowana. Fundusze uzyskane z ubezpieczeń społecznych, z lokat oszczędnościowych milionów obywateli, winny być obracane na cele społeczne przede wszystkim, na zaspakajanie najpilniejszych, społecznych właśnie, potrzeb ludności pracującej.

---

*) Czesław Klarner. Polityka mieszkaniowa w Polsce i zagranicą. Wydawnictwo Izby Przemysłowo - Handlowej w Warszawie. Warszawa 1930

Oto źródła podstawowe. Pozostałaby do omówienia jeszcze kwestia dotacyj budżetowych, które istnieją dziś w tej czy innej postaci. Są to sprawy, o których trudno w tej chwili mówić szczegółowo, a które nabiorą kształtów realniejszych dopiero w miarę tworzenia wielkiego funduszu budowlanego. W każdym bądź razie należałoby już dzisiaj zastanowić się poważnie, czy stosowane obecnie ulgi podatkowe, mają być nadal utrzymane. Co do jednego chyba jesteśmy zgodni. *Te dotacje budżetowe nie mogą w żadnym wypadku służyć budownictwu luksusowemu.* Jeśli ulgi — to na mieszkania małe, — jedno i dwuizbowe, o ściśle ustalonych wymiarach. Niedość tego. Komorne nie powinno przewyższać poziomu, uzasadnianego oprocentowaniem użytego kapitału, według stopy dyskontowej np. Banku Polskiego. Społeczeństwo musi mieć na przyszłość dostateczną gwarancję, że pieniądz skarbowy, użyty na budownictwo prywatne, spełni swoje zadanie. Że ludzie, którzy w najbliższym czasie będą jeszcze korzystać z dobrodziejstw inicjatywy prywatnej, nie zostaną oddani na łaskę i niełaskę kamieniczników. Ulgi podatkowe — owszem Ale i obowiązki — również.

Jak powiedzieliśmy na początku, wskazujemy dzisiaj na źródła jedynie najważniejsze, ramowe, które mogą i powinny stać się podstawą finansową przyszłej, jutrzejszej już, społecznej akcji budowlanej. Jedno jest pewne. Tylko radykalna, gruntowna zmiana dotychczasowej polityki mieszkaniowej przynieść może odprężenie. Ćwierć czy półśrodki nie uzdrowią „jątrzącej rany", która grozi gangreną całego schorzałego ciała.

Zapomnijmy teraz o bezrobotnej przeszłości, o tych latach zmarnowanych, kiedy inni, bliżej i dalej, dokonywali u siebie cudów w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego. Pamiętajmy tylko o rzeczywistości. O tym przede wszystkim, że jeśli w ciągu najbliższych lat nie zbudujemy owego, legendarnego już dziś, miliona izb, zwalą się na nas społeczne skutki nieczłowieczego wręcz bytowania dzisiejszych „ludzi bezdomnych". Mieszkańców śląskich „bieda - domów" i „bieda-nor", kresowych, wołyńskich „domów-jaskiń", czy wreszcie społeczne skutki bytowania obywateli — „kątowników", którzy w dzielnicach robotniczych, w osadach fabrycznych jak Polska długa i szeroka, stanowią najczęściej spotykany dziś typ współlokatora izby, dzielonej przez kilkanaście nieraz osób

WŁADYSŁAW BRZESKI

Z polskiego Panteonu demokracji

Przemilczana karta w dziejach walki o niepodległość

Dzieje polskich ruchów niepodległościowo - demokratycznych XIX stulecia, to jednocześnie walka o gruntowne przeobrażenie stosunków społeczno - gospodarczych. Fakt, że obóz niepodległościowy widział przyszłość narodu w zniesieniu przestarzałego, feodalnego i pańszczyźnianego ustroju rolnego, że zwycięstwo w walce o wolność wiązał ze sprawą wyzwolenia ludu — wynikał ze zrozumienia rzeczywistej konieczności dziejowej.

Rzeczy te są na ogół znane i w naszej literaturze historycznej dostatecznie uzasadnione. O ile jednak idzie o socjologiczną analizę różnych odłamów ruchu niepodległościowo-demokratycznego, to zrobiono jeszcze bardzo mało. W tej sprawie nie ma jeszcze jasnego i konkretnie, historycznie uzasadnionego wytłumaczenia różnic, jakie dzieliły n.p. „Lud Polski" czy spisek Ściegiennego od Towarzystwa Demokratycznego; jakie istniały między ideologią Edwarda Dembowskiego a Heltmana, czy Mierosławskiego.

Próbą wyjaśnienia tych właśnie zagadnień jest wydana ostatnio niewielka, popularna książka Wincentego Banasia. *) Na stu kilkudziesięciu stronach autor w sposób jak najbardziej przystępny analizuje społeczno - ekonomiczną i polityczną treść ludowego odłamu polskiej demokracji niepodległościowej po upadku powstania listopadowego a przed rewolucją 1846-48 roku. Praca Banasia, którą czytać można bez żadnego przygotowania w tej dziedzinie, zapełnia poważną lukę w naszej popularnej literaturze historycznej i każdemu czytelnikowi, niezależnie od jego wykształcenia i przygotowania naukowego, da naprawdę nowy i oryginalny pogląd na dzieje demokracji polskiej przed stu laty. Dosłownie „jednym tchem" czytamy — i podziwiamy — dzieje wyodrębniania się i usamodzielniania polskiej myśli demokratyczno - ludowej, dzieje jej uniezależniania się od wpływów ideologicznych szlachty, które przecież z natury rzeczy silne były w szeregach ówczesnej demokracji. Chłopi - żołnierze w Anglii, którzy zorganizowali odrębną, zwalczającą Towarzystwo Demokratyczne, grupę radykalno - ludową, chłopski syn Ściegienny, skromny proboszcz wiejski w kieleckim, który pierwszy przemówił wprost do chłopów i wezwał ich do walki pod własnym sztandarem, płomienny bohater Dembowski, który zerwał z własną klasą, odrzucił bogactwa i zaszczyty, by cały swój entuzjazm poświęcić sprawie wyzwolenia ludu, i w młodym wieku oddać dla niej życie — to postacie z prawdziwego Panteonu polskich walk niepodległościowych, postacie tak mało znane szerokiemu ogółowi! Gniew i entuzjazm, nienawiść krzywdy i miłość do ludu brzmią w surowych, tchnących ewangeliczną i jakobińską zarazem namiętnością w pismach i manifestach „Ludu Polskiego" — w księdza Ściegiennego „Złotej Książeczce". Szlachetny, nieskalany filantropijną łezką, humanitaryzm Edwarda Dembowskiego przypomina najlepsze karty współczesnej mu francuskiej literatury społecznej — tylko, że Dembowski nie apeluje do możnych świata tego, ale zwraca się do ludu, w którym widzi mocarza i przyszłego zwycięzcę w walce o wolność swoją i Ojczyzny.

Książka Banasia jest więc popularną historią ludowego odłamu naszej demokracji niepodległościowej. Odłamowi temu poświęcił autor swą pracę, dlatego nie mógł uwzględnić bardziej wyczerpująco ideologii społecznej t.zw. demokracji szlacheckiej. O programie Towarzystwa Demokratycznego, o poglądach Lelewela i Kamieńskiego, dowiadujemy się tyle tylko, ile trzeba dla uwydatnienia różnic między tymi dwoma prądami ówczesnej demokracji: ludowym i szlachecko-mieszczańskim. Przyczem autor sam nie daje wszechstronnej oceny tego ostatniego, a każe mówić „Ludowi Polskiemu", który w demokracji szlacheckiej mógł oczywiście widzieć i podkreślać właśnie jej szlacheckość, nieraz fatalnie ciążącą na teoretycznych koncepcjach i praktycznych poczynaniach tego kierunku. Nie ulega przecież wątpliwości, że społeczno - ekonomiczna platforma T-wa Demokratycznego, głosząca uwłaszczenie tylko tych gruntów, które chłopi na podstawie pańszczyźnianego stosunku dzierżyli, ale pozostawiającą grunta folwarczne nadal we władaniu ziemiaństwa — nie mogła w tym stopniu porwać do walki z zaborcą szerokich mas ludowych, co program „Ludu Polskiego" i Ściegiennego, żądający przejęcia całej ziemi przez lud na niej pracujący. Jasne, że program T-wa Demokratycznego przy całej swej postępowości zachowujący gospodarkę fol-

*) Wincenty Banaś: Z dziejów demokracji w Polsce. Lud Polski, Dembowski, Ściegienny - Warszawa, Robotniczy Instytut Oświaty i Kultury im. St. Żeromskiego, Senatorska 11/12.

warczną, był w istocie rzeczy tylko programem najbardziej postępowej części szlachty — a program, żądający zniesienia folwarku i oddanie całej ziemi ludowi, programem demokracji chłopskiej. Że były to dwie przeciwstawne sobie koncepcje społeczne i polityczne — owe „dwie drogi" walki z feodalizmem i zastąpieniem go kapitalizmem: „plebejska" i ziemiańsko-mieszczańska.

Ale my dziś, z perspektywy stulecia, potrafimy ocenić i te pozytywne strony demokracji „szlacheckiej" — których „Lud Polski" nie mógł w swej walce uwzględnić. Mimo wszystko, nawet nadanie chłopom na własność tych gruntów, które pod pańszczyzną dla siebie uprawiali, było wówczas olbrzymim krokiem naprzód — krokiem, którego szlachta bynajmniej uczynić nie chciała. Dlatego demokracja „szlachecka" była dla większości szlachty „czerwonym" upiorem rewolucji, rzezi i wojny domowej, choć T-wo Demokratyczne bynajmniej takich zamiarów nie miało. Jakkolwiek sympatia autora i czytelnika — będzie zawsze po stronie prądu ludowego i jego bohaterskich przedstawicieli — czyż wolno nam zapomnieć o Szymonie Konarskim, demokracie „szlacheckim", który zginął za sprawę niepodległości i demokracji, choć może naprawdę nie zdołał się uwolnić od wszystkich poglądów swej warstwy? Czy Henryk Kamieński przeszedł do historii demokracji polskiej tylko jako ekonomista, formułujący nowoczesny program kapitalistycznej gospodarki folwarcznej? Przecież ten sam Kamieński, choć łudził się, że szlachta sama w interesie Ojczyzny przeprowadzi uwłaszczenie i stanie na czele „rewolucji społecznej" — rozumiał powstanie narodowe jako powszechną wojnę ludową z „jakobińskimi" metodami walki! Szlachcie zaś, która by zawiodła jego nadzieje i sprzeciwiła się uwłaszczeniu, groził całkowitą zagładą.

Ludowy odłam demokracji niepodległościowej był najbardziej konsekwentnym, najdalej zaawansowanym i rzeczywiście niezależnym od szlachetczyzny prawdziwie chłopskim kierunkiem politycznym. Ale ktoby z pism „Ludu Polskiego" chciał wnosić, że demokracja „szlachecka" reprezentowała tylko reakcyjne interesy ziemiaństwa i nic więcej — znalazł by się w grubym błędzie. Już sam fakt, że szczerze walczyła o niepodległość, kwalifikuje ją jako część składową walczącego z Świętym Przymierzem europejskiego obozu demokratycznego. Bo reakcyjna szlachta o niepodległość nie walczyła — prawda ta czerwoną nicią przewija się przez całą książkę. — Autor wyraźnie podkreśla postępowy charakter szlachecko-mieszczańskiego odłamu demokracji, wykazuje tylko jego nie-ludową, nie-chłopską treść społeczną.

Za mało może podkreślono w książce rzeczywiste, ekonomiczne znaczenie ludowego programu rolnego. Oddanie ziemi na własność gminie nie oznaczało bynajmniej socjalizmu w nowoczesnym, kolektywistycznym, sensie. Treścią jego było tylko zniesienie gospodarki folwarcznej przez oddanie całej ziemi ludowi i urządzenie na niej chłopskiej, indywidualistycznej gospodarki rolnej — t.zn. swoista w ówczesnych warunkach „reforma rolna bez wykupu": zniesienie obszarniczego monopolu własności ziemskiej, zniesienie haraczu, jakim warstwa feodalna z samego tytułu posiadania obciąża społeczeństwo. Takie było istotne znaczenie „plebejskiej" krytyki własności ziemskiej, krytyki uderzającej w demokrację „szlachecką" właśnie za to, że stała na gruncie utrzymania gospodarki folwarcznej.

Korekta książki pozostawia wiele do życzenia. Nie tylko Zenon Świętosławski w kilku miejscach występuje jako Świętochowski, nie tylko Konstytucja 3 Maja była w roku 1793! Z tymi błędami czytelnik da sobie ostatecznie radę. Ale jak wybrnąć z błędów w danych statystycznych na początku pierwszego rozdziału, które się nie bilansują?

MICHAŁ JORDAN.

Wszędzie tacy sami!... Atak na franka

Jesteśmy świadkami w chwili obecnej ciekawego widowiska we Francji. Oto rząd Frontu Ludowego, ściślej mówiąc rząd umiarkowanego skrzydła tego frontu, rząd kierowany przez prawe skrzydło radykałów, próbuje przy pomocy „ortodoksalnych" metod liberalnej, kapitalistycznej ekonomii opanować spadek waluty. Protestuje przeciw tym metodom co prawda lewe, robotnicze skrzydło większości rządowej, ale ostatecznie — akceptuje je. Wnioski walutowe rządu stawiane są również imieniem ministrów socjalistycznych, o których wiadomo, że woleliby inne zarządzenia. Głosują za tymi wnioskami posłowie lewicy, wskazując i zalecając równocześnie w swych mowach zupełnie inne środki ratowania waluty. Widocznie — uważają, że obecna chwila niesłychanego napięcia międzynarodowego nie pozwala na rozpętanie kryzysu rządowego w kraju.

Polityka ta przynosi pewne owoce. Przez pewien czas zatrzymano podaż franka na rynkach zagranicznych. Pierwsze transporty złota ruszyły z Ameryki do Francji, zamiast na odwrót. Kurs franka zaczął się stabilizować. I oto w takiej chwili do ataku rusza... „patriotyczna" „narodowa" prawica francuska!

Bliski tej prawicy społecznie i politycznie organ londyńskiej „City", „Financial News" informuje nas o tym ataku. A więc ukazuje się książka Henri Michel'a „France, prends garde!" („Francjo, strzeż się!"), malująca w czarnych barwach przyszłość gospodarczą Francji. P. Flandin zamieszcza w „Le Capital" artykuł, przewidujący wprost katastrofalne wyniki budżetowe na rok przyszły. To samo przepowiada p. Reynaud w Izbie i w prasie. Wszystkie te materiały jakaś tajemnicza ręka rozsyła po świecie. Książkę Michela otrzymują — bez zamówienia, za darmo! — wszyscy czołowi bankierzy angielscy. Artykuł Flandina, mowy Reynaud, ktoś „niewiadomy" rozsyła w wycinkach, wraz z odpowiednimi komentarzami, do wielkich firm i pism londyńskich. Czy to nie stara, dobrze znana u nas piosenka... Targowicy?

O co chodzi? „Financial News" wali prosto z mostu: „Prawica przypuszcza szturm, bo boi się, że stabilizacja franka wzmocni pozycję rządu. Widocznie prawica chce obalić rząd choćby za cenę kryzysu finansowego".

Pismo w szeregu artykułów nie szczędzi krytyki swym francuskim pobratymcom. „Flandin i Reynaud, wysoce inteligentni politycy i fachowcy finansowi, zdają sobie niewątpliwie sprawę z faktu, że jedynym możliwym skutkiem ich artykułów i mów będzie nowy atak na franka. Ale wiedzą oni również, że nowy spadek franka, lub choćby obawa tego spadku są jedynym środkiem do zmuszenia lewego skrzydła koalicji rządowej do dalszych ustępstw".

O jakie ustępstwa chodzi? O czterdziestogodzinny tydzień pracy. „Dwieście rodzin", władających życiem gospodarczym Francji i kierujących polityką reakcji francuskiej, nie może przeboleć, że polityka lewicowej większości rządowej dała francuskiemu światu pracy dwa dni wytchnienia na tydzień. „Dwieście rodzin" uważa to za zamach na swe uświęcone przez tradycję prawo do sześciu dni pracy — oczywiście pracy innych! — w tygodniu. Stąd — mowy, artykuły i kampania zagranicą.

„Financial News" zgadza się zresztą

zasadniczo z tymi panami. Rażą je tylko środki, zbyt jawnie już podpadające pod paragrafy „gospodarczej zdrady stanu". Zresztą nie łudzi się bynajmniej, że uda mu się ich przekonać. „Jeżeli nie będzie — pisze — poważnych ustępstw w sprawie 40-godz. tygodnia pracy, należy się spodziewać we Francji serii kryzysów politycznych i finansowych.

Któż był i jest we Francji bardziej „patriotyczny" i „narodowy", niż Schneidery, Flandiny, Reynaud! Co słowo, to „Francja", „Francuzi", „naród", „państwo", „ojczyzna". Ale wystarcza, by bodaj nieco został zagrożony zysk baronów przemysłowych, a już wszystkie piękne słowa idą w kąt. Wtedy już wolno — i trzeba! — prowadzić zagranicą kampanię propagandową przeciw własnej ojczyźnie, wolno podejmować kroki, których nieuniknionym następstwem ma być wzrost kryzysu we Francji, wzrost nędzy i głodu wśród Francuzów.

„Narodowa" międzynarodówka, międzynarodówka „narodowych" mistrzów narodowego i międzynarodowego kapitału jest ta sama we wszystkich swych odnogach.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Bronisław Kamiński: Przeciw. Poemat. Kraków 1937. Klub Młodych Artystów.

Wanda Wasilewska: Szukam antysemityzmu. Przedruk z „Wiadomości Literackich". Lwów 1938. Nakładem Wydawnictwa „Wiedza".

Wincenty Banaś: Z dziejów demokracji w Polsce. Lud polski. Dembowski. Ściegienny. Robotniczy Instytut Kultury im. Stefana Żeromskiego. Warszawa, Senatorska 11/121. Warszawa 1938.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Pani Zofji H. w Katowicach: Prosimy o bliższe szczegóły, inaczej nie możemy reklamować. Na wszystkich stacjach kolejowych w całej Polsce.

Panu Sewerynowi S. w Łodzi: Numery okazowe wysłaliśmy. Bardzo dziękujemy.

Panu Wacławowi M. w Warszawie. Rzecz wymaga poważnych przeróbek i osobistego porozumienia, w godzinach przyjęć.

Od wydawnictwa

ABONENTÓW, KTÓRZY ZALEGAJĄ Z OPŁATĄ PRENUMERATY ZA KWARTAŁ UBIEGŁY, PROSIMY O UREGULOWANIE NALEŻNOŚCI.

Od wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty na rok 1938.

W roku 1938

„EPOKA"

wychodzi trzy razy miesięcznie

dn. 5-go, 15-go, 25-go

CENA PRZEDPŁATY WRAZ Z PRZESYŁKĄ:

Rocznie zł. 15,
półrocznie zł. 8
kwartalnie zł. 4,
miesięcznie zł. 1,50.

KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.
REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 4.— Numer pojedyńczy 50 gr
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40
REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 4471 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.